ROK WYDAWNICTWA SZÓSTY

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 lipca 1939 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
73 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka ·

HALINA GÓRSKA

Powrót z Rzeczypospolitej Przyszłości

Łagodna falistość zielonych pagórków, szeroki horyzont nieba.

Łany zboża i pola słynnych cukrowych buraków.

Nigdzie nie czernieje las.

Tylko w pewnem miejscu drogi, wijącej się między polami, wystrzela wgórę olbrzymia, samotna topola. Podnosimy oczy, by przyjrzeć się tonącemu w błękicie wierzchołkowi drzewa.

Pień jego zupełnie nagi, powykręcany jest na wszystkie strony, nabrzmiały guzami, pozwijany w twarde węzły i dopiero tuż przy wierzchołku wypręża się nagle, staje się gładki, smukły i prosty, jakgdyby to olbrzymie, walczące od dziesiątków lat z wichrami, samotne drzewo, nagle prostowało się i podnosiło ku niebu młodzieńczo zieloną i świeżą, rozwichrzoną głowę.

I nagle uderza mnie pokrewieństwo ze światem, który poznałam i który za chwilę zniknie mi z oczu, wraz z tą topolą i zielonemi wzgórzami.

Od setek lat wrośnięci w ziemię, a przecież nie posiadający niczego niemal na własność, jak to przydrożne drzewo. Bo te szerokie łany pszenicy i te proste, biegnące aż do skraju horyzontu, grzędy buraków słynnej, przeworskiej cukrowni, to wszystko własność książąt Lubomirskich. Maleńkie działki chłopskie (1—2—3 morgi), wciśnięte między te obszary, w odległości kilku kilometrów od chat, działki, do których narzędzia pracy trzeba przenosić na plecach, bo książę nie pozwala na polne drogi, nie mogą wyżywić. Pozostaje więc ciężka, niemal pańszczyźniana praca, od wschodu do zachodu słońca, na książęcych polach. Praca, do której trzeba wychodzić o drugiej w nocy, a wracać nocą, bo administratorzy nie biorą do niej nigdy chłopów z najbliższej wsi, ale starają się, podobnie jak w formacjach wojskowych, którym się nie ufa, przerzucić ich jak najdalej. Praca, do której często i chętnie dla zmniejszenia i tak lichych płac bierze się dzieci, pielące tak samo jak dorośli 14—16 godzin w pożodze słońca, bez wody, o kawałku suchego chleba (nie można donosić strawy tak daleko), poganiane przez konnych dozorców, nie pozwalających rozprostować grzbietu. Tu nie obowiązuje bowiem ani ochrona pracy, ani ubezpieczenia, prócz — ubezpieczeń od wypadków, w których zakres nie zalicza się oczywiście, porażenia słonecznego... Toteż nic dziwnego, że wielka jest śmiertelność dzieci i że nagminnie panuje gruźlica.

A jednak...

A jednak ten właśnie lud potrafił podnieść głowę i stworzyć Gać niby zieloną wiechę, niby żywy, zielony sztandar, dumnie powiewający wgórę, aż pod niebo.

Ci nędzarze ufundowali z rozrzutnością magnatów uniwersytet, z którego korzystają chłopi z całej Polski i który stał się płomieniem i najczystszą krynicą ruchu ludowego.

Ci biali murzyni realizują hasła Abramowskiego, kładą podwaliny pod przyszłą Rzeczpospolitę spółdzielczą, która „zbliża się cicho i spokojnie, jak każda rzecz mocna i wielka“, która „buduje się w każdej spółdzielni, w każdem stowarzyszeniu“*) i dodajmy jeszcze — w sercu każdego obywatela.

Nieprawdziwe jest bowiem mniemanie, że to Solarzowie stworzyli uniwersytet w Gaci, a Ciekotowie spółdzielnię zdrowia i dziecińce.

To chłopi tutejsi postanowili założyć uniwersytet i spółdzielnię i sprowadzili sobie Solarzów i Ciekotów.

Nie umniejsza to oczywiście wcale zasługi tych wspaniałych ludzi, którzy włożyli w dzieło im powierzone całą namiętność serca i niezłomność wytrwania, ale tłumaczy, dlaczego właśnie tutaj uniwersytet mógł się tak rozwinąć i dlaczego jedna za drugą powstają coraz to nowe instytucje i placówki, kształtujące nowe, nieznane dotychczas formy życia ludzkiego. Spółdzielnia spożywców, spółdzielnia koszykarska (jedna z nielicznych spółdzielni pracy w Polsce, dająca możność zarobku największej biedocie wiejskiej), spółdzielnia zdrowia (pierwsza w Polsce), pozostające pod jej opieką dziecińce, jedna z najstarszych szkół gospodyń wiejskich, koła „wiciowe“, domy ludowe, pismo kobiece (jedyne, redagowane nie w mieście, lecz na wsi), — oto sieć, która obejmuje coraz gęściej całe życie wsi okolicznych, sieć, której węzły nie są tylko węzłami dobrze zrozumianego interesu, lecz także węzłami wspólnoty (wszystkie one współpracują ze sobą), wzajemnej życzliwości i braterstwa.

Ofiarne wysiłki bohaterskich jednostek mogą oczywiście wpłynąć do pewnego stopnia i na taki okres czasu, na jaki starczy sił i bohaterstwa tych jednostek, na bieg życia. Ale dopiero tam, gdzie znajdują one oparcie w masie, gdzie są niejako wykwitem jej zbiorowej woli, dają wyniki trwałe i naprawdę sięgające wgłąb.

Toteż nie to jest najważniejsze, że kiedy powstawał uniwersytet w Gaci, jeden z nielicznych w okolicy „bogaczy“, 14-morgowy gospodarz, chciał mu podarować całe swe gospodarstwo wraz z chatą i swoją pracą w charakterze parobka (choć czemże są wobec tego daru wszystkie dary miljonerów, mecenasów sztuki i nauki?!). **Ważne jest to, że gromada nie uważała za moralne przerzucenie całego ciężaru na barki jednego człowieka i zaczęła budować uniwersytet wspólnemi siłami.** Te kamienie, wożone z odległych o 40 kilometrów gór (kto nie miał koni, wiózł na krowach), te dniówki, na które przychodziły kolejno koła „wiciowe“ z okolicznych wsi, posiadają wartość tak wielką i tak niezastąpioną, że słusznie uczynił Solarz, nie chcąc iść gdzieindziej na łatwiejsze warunki pracy, choć ofiarowywano mu gotowy dom i środki utrzymania uczelni.

Cement, którym spojone są mury uniwersytetu w Gaci posiada trwałość i twardość granitu.

Na wysokiem wzgórzu zbudowano za poradą chytrego górala Solarza, gmach uniwersytetu. Cały z kamienia, w stylu Witkiewicza, łączący jednak ze stylem podhalańskim niektóre elementy budownictwa miejscowego, panuje nad całą okolicą.

„Dlaczego właściwie postawiliście go na takim wygwizdowie?! Przecież tu wiatr ustać poprostu niedaje!“ — dziwi się jeden z gości, delegat uniwersytetu ludowego we Lwowie.

Solarz uśmiecha się, patrząc przymrużonemi oczyma w dal.

— Na dole, wie pan, to widzi się tylko swoją chałupę, a co najwyżej, płot swego sąsiada, a tu nasi uczniowie widzą całą okolicę, uczą się patrzeć szeroko i daleko!...

— No i — dodaje w myśli — cała okolica widzi jak na dłoni swój uniwersytet. Plon swojej pracy i wysiłków, swoją dumę i nadzieję.

Bo jeżeli wszystkie instytucje w Gaci i Markowej można porównać do arteryj, dostarczających okolicy nowej, żywej i zdrowej krwi, to sercem, regulującem jej krążenie jest uniwersytet.

Pytałam się nieraz różnych ludzi, którzy byli w Gaci, jakie przedmioty są tam wykładane i jakiego cenzusu wymaga się od uczniów. Odpowiedzi ich były zawsze jakieś mgliste i niejasne, jakgdyby ci ludzie, zachwycający się uniwersytem, nie mogli, czy nie umieli zdać sobie sprawy z rzeczy, tak przecież ważnej i istotnej, jak plan naukowy kursu. Przyznam się nawet, że nasuwało mi to podejrzenie, iż w Gaci uprawia się jakąś mętną mistykę czy zbiorową egzaltację. Podejrzenie to umacniały zaś jeszcze ich napomknienia, że właściwie „nie to jest tam najważniejsze“, ale „coś poza tem“ i że „cenzus szkolny nie ma tu większego znaczenia“.

Dopiero po przyjeździe do Gaci zrozumiałam, dlaczego tak nieistotna dla sprawy jest suma wiadomości, podawanych tutaj, choć plan nauki ułożony jest umiejętnie i starannie i dlaczego niejednolitość przygotowania uczniów nie przeszkadza: ludzie, którzy przybywają do Gaci, nie szukają ani dopełnienia nauki szkolnej, ani wiadomości praktycznych z dziedziny gospodarstwa wiejskiego, ani dyplomu na działacza partyjnego. Ta młodzież, stanowiąca zazwyczaj awangardę „Wici‘, przychodzi tutaj najczęściej szukać rozwiązania dręczących ją problemów indywidualnych lub społecznych. Zadaniem więc, które stawia sobie uniwersytet, jest przedewszystkiem wspólne przemyślenie i rozwiązanie tych zagadnień i — wysunięcie innych, których uczniowie dotychczas nie dostrzegali. Powtóre zaś — rozbudzenie w uczniach, przez ukazanie im szerokich horyzontów wiedzy, literatury i sztuki, zainteresowań naukowych i estetycznych, wskazanie im dróg samokształcenia. Ale pozatem wszystkiem uczy się rzeczywiście w Gaci jeszcze czegoś, może najważniejszego. Wyrabia się w nich zdolność do kontemplacji, która nie ma jednak nic wspólnego z jakimś mętnym mistycyzmem. Jest to zdolność skupienia się, zdolność oddzielenia się od wartkiego nurtu spraw aktualnych i przeprowadzenia w ciszy odważnej rewizji własnych poglądów, kontroli nad samym sobą. Nie nadarmo drugi dzień zjazdu Gacaków nazywają żartobliwie „spowiedzią wiciową“. Uczniowie dzielą się w tym dniu po bratersku swojemi złemi i dobremi doświadczeniami, zwierzają się ze swoich błędów, naprawiają krzywdy, które sobie wyrządzili. Atmosfera, która panuje w tym dniu, daje najlepsze wyobrażenie o codziennej atmosferze uniwersytetu. W życiu tej młodzieży, od dzieciństwa wprzęgniętej w jarzmo pracy codziennej, a później porwanej przez wartki nurt pracy organizacyjnej, Gać to jakgdyby wielkie rekolekcje. Bardzo ciekawe, że rezultatem tych rekolekcyj, tak samo, jak rezultatem rekolekcyj religijnych jest — pokora. Nie ta pokora oczywiście, która każe poddawać głowę pod jarzmo, nie pokora wobec losu, ale pokora, która pozwala spojrzeć krytycznie na własne poczynania i na samego siebie. W wypowiedziach byłych uczniów uniwersytetu, „wiciarek“ i „wiciarzy“, często powtarzają się słowa: „Kiedy jechałem na uniwersytet, to wydawało mi się, że wszystkie rozumy pojadłem, i że niema drugiego takiego jak ja. Byłem przewodniczącym koła i rządziłem wszystkimi, jak kapral, a nawet mi do głowy nie przyszło; jakiem prawem. Ale tutaj, to zobaczyłem, że jestem tylko zarozumialcem, że bardzo niewiele jeszcze umiem i wogóle niewiele jestem wart. I z początku to nawet byłem zły na uniwersytet! Myślałem sobie, że jak człowiek nauczy się tak nad sobą i nad wszystkiem, co robi, zastanawiać, to już chyba nie będzie nigdy mógł z takim, jak dawniej, rozmachem, pracować, że zostanie jakiemś dziwadłem i niedołęgą. I dopiero potem zobaczyłem, że chęć pracy, a chęć przewodzenia, to dwie całkiem różne rzeczy i że uniwersytet nie tylko nie zabił we mnie zdolności do roboty, ale bardzo mi w niej pomógł“.

I jeszcze jedna, często powtarzajaca się wypowiedź, która także może świadczy o pewnej zbieżności między „rekolekcjami“ w Gaci, a rekolekcjami religijnemi.

— „Kiedy powróciłam do domu z uniwersytetu“ — opowiada jedna z wiciarek — „to przez parę tygodni miejsca sobie znaleźć nie mogłam. Jakbym tam zostawiła ludzi, którzy byli prawdziwymi moimi krewnymi, prawdziwy dom, prawdziwy świat... (Może inny? Może przyszły?)“.

— „Do dawnego życia to się człowiek musi po Gaci dopiero przyzwyczaić“ — zwierza się druga. — „Z początku to chodzi między ludźmi jak błędny i dopiero później, jak się nie rzuci w robotę!...“.

A że rzuci się z zapałem i oddaniem, o tem świadczy całe, bujnie zakwitające wokół uniwersytetu życie w swoich nie tylko zewnętrznych, ale najbardziej wewnętrznych, najgłębszych przemianach. Bo przecież to nie tylko o ilość, ani nawet o jakość instytucji chodzi, ale o tę wzajemną życzliwość i przyjaźń ludzką, którą czuje się tutaj na każdym kroku i o zmianę w stosunkach ludzkich nie tylko społecznych, ale i rodzinnych.

Przemiany społeczne są może bardziej jaskrawe. Każdego, kto przybywa tutaj, uderza nie tylko ogromna ofiarność tutejszych ludzi,**) ale bardziej jeszcze może, zwykłość, powiedziałabym — codzienność tej ofiarności, która nie jest już niemal uważana za ofiarność, ale za obowiązek. (Kiedy zachwycałam się nią w rozmowach z Ciekotami, patrzyli na mnie zmieszani i zaskoczeni: — Hm... tak... oczywiście. Tylko oni tak się już przyzwyczaili do tego...).

Jeszcze bodajże ciekawsza jest jednak zarysowująca się powoli i niedostrzegalnie zmiana psychicznego nastawienia do prywatnej własności, jeśli wchodzi ona w kolizję z interesem publicznym. Nie idzie mi tu o stosunek do wielkiej własności i reformy rolnej, bo to są inne sprawy, ale o stosunek do własności chłopskiej.

Pewien gospodarz pokazywał mi z oburzeniem jakąś stodołę, wystawioną przez jej właściciela na gruncie, o którym wszyscy wiedzą, że „później potrzebny będzie przecież uniwersytetowi...“. W sztuce Solarzowej, opiewającej dzieje spółdzielni koszykarskiej, gospodarz, nie chcący sprzedać łąki, bez której kooperatywa nie może się utrzymać, to człowiek ciemny, znany w całej wsi sobek... Te drobne napozór przykłady, nie są, według mnie, tak bez znaczenia, jakby się to napozór wydawało.

Ale najbardziej znamienna i świadcząca o wyzwoleńczym charakterze ruchu chłopskiego, jest zmiana w stosunku do kobiety i dziecka.

Na zjazd zjechało kilkanaście małżeństw (niektóre przywiozły ze sobą dzieci, by je pokazać „chrzestnym“). Są to koledzy i koleżanki „wiciowe“, byli słuchacze i słuchaczki.

Kilka kobiet opowiadało z humorem, jakie walki przeszły, bo chciano je koniecznie ożenić „z morgami“. Jednej to rodzice wyrzekli się nawet, bo wyszła za biedaka. Ale choć bieda dokucza i choć żal jej starych, jest szczęśliwa, że może żyć „swojem, własnem życiem“.

Jeden ze słuchaczy przyjechał nie tylko na zjazd, lecz także odwiedzić żonę, która jest na kursie. Opowiadał jej o gospodarce i o dzieciach, chłopczyku dziewięcioletnim i ośmioletniej dziewczynce, ona zaś wręczała mu jakieś zakupione dla nich groszowe zabaweczki. Moje zdziwienie, że zgodził się na

*) Słowa Abramowskiego.

**) Budującej się dopiero obecnie poradni zdrowia jeden z gospodarzy odstąpił tymczasowo swoją nową chatę, a sam gnieździ się w budzie. Młynarz daje darmo prąd, inny młynarz obiecał kupić do nowego gmachu motor za 1000 zł, nie mówię już oczywiście o robociźnie, którą dają wszyscy.

jej wyjazd, wydało mu się niezrozumiałe: może przecież przez te kilka miesięcy dać sobie jakoś radę, a ona odczuwała ogromną potrzebę tego uniwersytetu...

Radykalna zmiana w stosunku do dziecka rzuca się może jeszcze bardziej w oczy.

Miłość i staranie, z jakiem przyozdobiono w barwne wycinanki i zaopatrzono w własnego wyrobu zabawki i mebelki dziecińce, w których matki, idąc do pracy, zostawiają dzieci, są naprawdę wzruszające, a zainteresowanie sprawami wychowawczemi takie, że Solarzowa publicznie, choć nie z nazwiska, potępiła na zjeździe ojca, który „uważa się za demokratę, ale bije swoje dziecko“... Zresztą sprawa ta uważana była nie tylko za sprawę wychowawczą, ale i etyczną, a sprawy etyczne nie są tu nigdy odsuwane na drugi plan lub załatwiane kompromisowo, zależnie od warunków taktycznych czy konjunkturalnych. Słowa „moralność chrześcijańska“ powtarzały się często na zjeździe nawet w dyskusjach politycznych, prowadzonych zresztą na bardzo wysokim poziomie. I nie były one nigdy zdawkowym frazesem, który osłania często niezgodną z niemi treść, ale brzmiały poważnie, twardo i dostojnie, jak słowa ewangelji: „Twoje tak, będzie tak, a twoje nie, będzie nie“.

Wydaje mi się, że wielką zasługą Solarza jest to, że on pierwszy zrozumiał, że człowiek pracy i czynu potrzebuje nie tylko wiedzy i uświadomienia politycznego, ale pogłębienia życia duchowego, że odrywając go na pewien czas od aktualności życia, przywraca go życiu bogatszego i bogacącego je o nowe wartości.

Trudno mi orzec na podstawie owych 2 dni, spędzonych w gackim uniwersytecie, jaki jest podział pracy obojga Solarzów. Wydaje mi się jednak, że Solarz jest tu elementem refleksyjnym, Solarzowa uczuciowym i intuicyjnym, pogłębionym przez artyzm. Kto widział Solarza tylko podczas odczytu w mieście, nie może zdać sobie sprawy z istotnej wartości i z istotnego wpływu tego chłopskiego Sokratesa. Wydaje mi się, że nie wykłady Solarza są najważniejsze, ale jego postawa wobec życia i jego zdolność wydobywania z człowieka nowych wartości, uświadamiania mu jego dążności (nie przez narzucanie mu pewnego kierunku, ale przez pomoc w samodzielnem wydobyciu się z wewnętrznej rozterki lub zamętu). Rozmawiając z Solarzem czuje się zresztą, że uczniami jego nie są tylko uczniowie z Gaci. Kiedy wysłuchawszy cię uprzejmie, z życzliwym szacunkiem, zaczyna ci zadawać pytania niby to w celu poinformowania się o czemś, w rzeczywistości zaś w celu skierowania twojej uwagi na rzeczy istotne, czujesz, że i ty naraz stajesz się jego „uczniem“. Opowiadano mi, że z początku, kiedy jeszcze uniwersytet w Gaci narażony był na różne trudności i przykrości ze strony władz, Solarz rozmawiał z niemi w ten sam właśnie sposób. Z pełnym zaciekawienia szacunkiem wysłuchiwał zarzutów, a potem i owszem przyznawał, że jeśli się rzecz rozpatruje z punktu widzenia sprawności zarządzenia, to pan starosta ma zupełną słuszność, ale czy pan starosta nie zechciałby mu odpowiedzieć, jaki jest ostateczny cel jego zarządzeń? I... zaczynało się. A koniec był taki, że często urzędnik, który przyjmował go stojąc i nie wskazując mu krzesła, odprowadzał go potem aż do drzwi. „Słowa twoje są zupełnie słuszne, Lyzjaszu, ale...“.

Jestem zresztą pewna, że Solarz, postępując tak, działał nie tylko w interesie Gaci, ale — w interesie owego urzędnika, że kierowała nim życzliwość i chęć wskazania mu właściwej drogi... Każdy człowiek bowiem jest dla Solarza tylko — sobą. Jego urząd, tytuł, rozgłos nie posiadają dla niego znaczenia. Niczego mu nie odbierają i nie dodają. I dlatego jeśli kto chce go uważać za przeciwnika, to jest to przeciwnik najłagodniejszy, najbardziej wyrozumiały i wybaczający, i — niezwyciężony.

I ten stosunek do ludzi przejmują w dużej mierze jego uczniowie.

Gość, który przyjeżdża do Gaci, czuje się czasem nieco dziwnie. Przywykliśmy bowiem wszyscy reprezentować niejako nie siebie samego, ale instytucję, zawód, godność, sumę sukcesów, rozgłosu lub chociaż to, czem chcielibyśmy być, a nie jesteśmy. Tymczasem serca Gacaków cą wprawdzie otwarte, ale wejść w nie możesz tylko ty sam. Wszystko inne nikomu nie imponuje i nikogo nie zdobywa. Stół w Gaci jest prawdziwie okrągłym stołem, przy którym niema wyższych i niższych miejsc. Przecież nawet ukochani „chrzestni“ nie przewodzą i nie „zniżają się“. Są tak samo, jak wszyscy, przedmiotem wesołych, koleżeńskich żartów i mistyfikacji, biorą taki sam, jak inni udział w codziennych, gospodarskich zajęciach.

Widziałam, jak Solarzowa wynosiła wiadra i sprzątała wraz z dziewczętami, ale czuję się nieco skrępowana, pisząc o tem, bo nie robiła z tego jakiejś manifestacji, ani nie celebrowała z afektacją tych czynności w celach wychowawczych. Były one poprostu tak naturalne, jak to, że ktoś nie pozwala wyręczać się we wszystkiem innym kolegom. Nie widziałam, niestety, Solarzowej podczas wykładów. Zabierała jedynie głos podczas dyskusji na zjeździe i zagajała „spowiedź wiciową“. I jeśli Solarz jest spokojny, logiczny, czasem wzniosły, czasem zaś dobrodusznie-ironiczny, to Solarzowa jest cała sercem i płomieniem.

Solarz jest zawsze i w stosunku do wszystkich — nauczycielem.

Niespokojnej, gorącej, wiecznie czegoś jeszcze poszukującej naturze Solarzowej, ciąży często jej „nauczycielstwo“. W przeciwieństwie do Solarza, nastawionego zawsze na pomoc i pouczenie, Solarzowa, ciekawa świata i ludzi, chętnie uczyłaby się od każdego i przyjęłaby jego pomocną dłoń. Jak w każdym artyście, jest w niej coś z dziecka.

Wkład pracy Solarzowej i jej rezultaty wychowawcze można ocenić w całej pełni wtedy tylko, gdy się widzi jej teatr.

Pierwszy dzień zjazdu zakończyły jego popisy nie na deskach scenicznych, w świetle reflektorów, ale przy księżycu i gwiazdach, na platformie szerokich, kamiennych schodów, wiodących do uniwersytetu.

Ramy tego artykułu nie pozwalają mi na szczegółową analizę naprawdę niezapomnianych wrażeń. Zresztą o teatrze Gacaków trudno jest pisać na marginesie. Było jednak kilka inscenizacyj, które uświadomiły mi kierunek twórczości wychowawczej Solarzowej (bo tak chyba trzeba to nazwać).

Będę tu oczywiście mówiła wyłącznie o wpływie jej teatru na kształtowanie się duchowe uczni-aktorów, gdyż, jak już wspomniałam, rozważanie wpływu tego niezwykłego teatru na słuchaczy, musiałoby stanowić odrębny temat.

„Idziemy, idziemy, dróżeczki nie wiemy...
Do serca daleko, kochanie, za rzeką,
Nie spotkaliśwa się...“.

Płynie prosta i rzewna melodja ludowej piosenki. I wraz z nią płyną przez scenę szeregi dziewcząt.

Mijają się równolegle, to znów na chwilę krzyżują się ze sobą i znowu rozchodzą, jak splątane ludzkie drogi, nie mogące się spotkać.

Daremnie usiłują przedrzeć się przez nie idący ku sobie chłopiec i dziewczyna. Splątane drogi, rozstajne drogi rozdzielają ich, nie dopuszczają do siebie.

„Kalina z jaworem spotkać się nie może...“.

Korowody dziewcząt rozsuwają się, uniesione wgórę ręce są niby rozchwiane na wietrze gałęzie.

To już nie biegnące obok siebie drogi, ale szumiąca rzeka, rozdzielająca rosnące po obydwóch stronach drzewa. Napróżno wyciągają ku sobie szarpane przez wiatr gałęzie.

„Idziemy, idziemy, dróżeczki nie wiemy...
Do serca daleko, kochanie, za rzeką,
Nie spotkaliśwa się...“.

Płynie z głębi rozdartego serca już nie rzewna, ale przejmująca skargą melodja.

Ekspresja tego małego arcydzieła jest taka, że widz ani przez chwilę nie wątpi, co oznacza każdy gest dziewcząt. Jest to coś, czego nie można nauczyć, coś, co trzeba wsączyć w serca.

Tęsknota za miłością pełną i doskonałą, za całkowitem zlaniem się, za nieosiągalną harmonją — czy nie niebezpieczny, czy nie nazbyt gorzki dar ofiarowała tej młodzieży Solarzowa? Ale zarazem — czy nie włożyła jej w ręce kłębka Arjadny, który wyprowadza z ciemnych labiryntów instynktu wzwyż?

Ale oto nowa inscenizacja.

W głębi ciemny chór chłopców.

Jest ich dziesięciu. Tylu bowiem powinno odprawiać w bożnicy pokutną modlitwę za zmarłych. Przed nimi postać, owinięta w czarne chusty, miarowo pochyla się wtył i wprzód w żałobnem zawodzeniu.

A na pierwszym planie sceny, wyciągający ręce ku gwiazdom w niewypowiedzianej tęsknocie, chór dziewczęcy.

„Szwarce Jur... Czarny rok...
Umarł Szaja Ajzensztok...“.

Płacze zawodzony na nutę bożniczej, pogrzebowej pieśni wiersz Kasprowicza.

A dziewczęta opowiadają o tem, jak to Szaja Ajzensztok odbierając myto przy szlabanie, tęsknił w gwiaździste noce do Jerozolimy. Miał tam pojechać, gdy uciuła potrzebne grosze, ale wciąż go coś zatrzymuje w drodze! jeszcze trzeba uzbierać na posag dla córki, jeszcze założyć sklepik synowi...

A potem... potem...

Krząta się we dnie Szaja, chodzi po wsiach, kupuje, sprzedaje, zziajany, zapędzany, wiecznie goniący za groszem.

Ale przychodzi noc i odpadają jak nędzny łachman sprawy dnia...

I Szaja znowu wyciąga ręce ku gwieździe, która nie chce się zbliżyć i do której on zbliżyć się nie może — ku Jerozolimie.

Płyną lata. I Szaja umiera, nie zobaczywszy jej.

„Szwarce Jur... Czarny rok...
Umarł Szaja Ajzensztok...“ — łka w głębi chór.

W niewypowiedzianej tęsknocie prężą się ku gwiaździstemu niebu dziewczęce ręce.

Pisano już nieraz o tej inscenizacji, jako o ogromnym sukcesie artystycznym Solarzowej. Nikt jednak nie zwrócił, zdaje mi się, uwagi na niemniejszy bodaj od niego sukces wychowawczy.

Ośmielić się na taką inscenizację w czasach pogardy i nienawiści, w czasach, gdy, jak w zamierzchłych wiekach, wszystko, co obce i niezrozumiałe, jest niższe i godne w najlepszym razie — drwin!

Wskazać na to, co łączy wszystkich ludzi, wszystkich narodów i ras, na tęsknotę do jakiejś Jerozolimy, i tragedję rozdarcia między ziemią a niebem — to naprawdę piękna odwaga.

„Niech rozlegnie się nasz głos dokoła,
Śpiew-pobudka, budząca ze snu świat...“.

Przydrożne brzozy pochylają się w ukłonie, zmiatają gałązkami pył przed tym, który idzie...

Słychać tupot setek bosych nóg — nowi ludzie maszerują w przyszłość!

Nie idą z żagwią, ani z mieczem zemsty, ale nie pozwolą zatrzymać się w drodze! Rytm ich marszu, ich śpiew, wizja przyszłości, którą narzucają słuchaczowi, ma w sobie coś nieodpartego.

Solarzowa daje w tej inscenizacji to, co daje uczniom cała jej praca — widzenie nowej rzeczywistości.

I tu leży najgłębsze znaczenie jej pracy.

Istnieje bowiem analogja między prawdziwym działaczem społecznym, kształtującym nowe życie, a artystą.

Podobnie, jak artystą nie jest ten, na którego soczewce utrwala się tylko fotografja rzeczywistości, ale ten, który stwarza własną jej wizję, tak działaczem społecznym, formującym nowe życie, nie może być ten, kto posiada w sobie jedynie odbicie tej rzeczywistości, która go otacza — powinien mieć twórczą wizję tej rzeczywistości, której pragnie.

Zasługą Solarzowej jest, że zrozumiała, a może (bo to jest u artystów częstsze), wyczuła i dopełniła wychowanie gacaków, budząc w nich i rozwijając silnie zresztą zakorzenioną w chłopach wrażliwość artystyczną.

Gać Solarza byłaby (tak mi się przynajmniej wydaje), cichą pustelnią, przygotowującą bojowników.

Gać Solarzowej rozbrzmiewa pieśniami „o wiśniach, czereśniach, zapalających się w słońcu u mojej miłej, u mojej miłej okienka“, dudni muzyką kujawiaków, polek i krakowiaków, lśni barwami kolorowych wycinanek, szepce słowami legend góralskich, muzyką wierszy Kasprowicza.

Ale obydwie tworzą dopiero harmonję całości.

— — — — — — — — —

Topoli już nie widać. Świat tonie w błękitnym zmierzchu, ale nadchodzący chłód wieczoru łagodzi jeszcze od czasu do czasu ciepły oddech ziemi.

Gdy dojeżdżamy do Przeworska, jest już gwiaździsta noc.

Słowa moich towarzyszy dźwięczą gdzieś obok nie docierając do mnie, tak bardzo jestem pełna śpiewu, głosów, barw, ale najbardziej może czegoś nieokreślonego, czegoś, co w pewnej chwili kazało mi tam, w Gaci poczuć, że tu przecież jest mój dom, dom, który odnalazłam, i którego nie chcę opuścić!

Kiedy to się stało? Może podczas wiciowego uścisku dłoni nad stołem, może wtedy, kiedy spojrzałam w zaszklone łzami oczy wiciarzy, gdy opowiadałam im o doli bezrobotnej młodzieży w mieście? Może w ciepłem objęciu dziewczęcych ramion, kiedy to wracałyśmy z obrad zjazdu we trzy nocą, otulone jedną łowicką zapaską, a one mówiły, że jestem im taka bliska? A może podczas samych obrad, kiedy czułam w wątpliwościach i rozterkach ludzi z Gaci dźwięczące swoje własne rozterki i wątpliwości, a w myślach najbardziej własne myśli?

Lwów, samochody, tramwaje, wozy, fala ludzka, płynące niewiadomo skąd i poco.

Doznaję wrażenia, że nie byłam tu nie dwa dni, ale dwa lata.

Czuję się wyrzucona z kolei, obca. Kiedyś, w dzieciństwie, czytałam taką bajkę o chłopcu, uprowadzonym przez rusałki do podwodnego królestwa. Siedem dni, które tam spędził, były właściwie 7 latami, a po powrocie nie mógł już odnaleźć ani dawnego świata, ani ludzi, ani nawet siebie samego i tęsknił całe życie do zaczarowanego kraju.

Pod powiekami mam wciąż jeszcze szczególną, jakgdyby przepaloną słonecznym żarem, twarz „chrzestnej“ (włosy jak przypruszone pyłem gościńca przejrzałe zboże, lekko spełzły w słońcu bławatkowy błękit oczu, cera spalona na wietrze). I dobry, choć z odrobiną ukrytej w kątach ust drwiny, uśmiech „chrzestnego“, i wesołą, młodą, błyskającą zębami w szerokim śmiechu, twarz dr. Ciekota (bardzo radosny, pewny siebie i świata jest ten współczesny Judym), Hankę Ciekotową, pochylającą się nad swoją malutką córeczką, śpiącą w cieniu drzewa, by za chwilę wyruszyć na codzienną inspekcję dziecińców, i twarze „wiciarek“ i „wiciarzy“. Widzę ich przecież wszystkich! Wszystkich! Widzę ich tak wyraźnie, że każdego z nich niemal mogłabym opisać!

Tylko siebie samej nie widzę i nie mogę odnaleźć.

Może to ten sam „zamęt“, który przeżywają po powrocie z uniwersytetu uczniowie? I może dla mnie wyłoni się z niego także coś nowego?

Tymczasem jednak nie mogę odnaleźć nawet własnych słów, słów, któremi mogłabym wam podziękować, drodzy.

Napróżno szukam ich.

W myślach błąka się tylko zasłyszana u was piosenka, którą śpiewaliście „chrzestnym“, gdy kładliście fundamenty pod dom waszego uniwersytetu.

Potocz się wianeczku popod chrzestnych [nogi,
Dajcież go najmilsi przed węgła, pod [progi,
żeby się w tym domu darzyło, darzyło...
żeby w nim dla ludzi szczęście się [rodziło!...

Halina Górska

PAWEŁ HERTZ

RUE DAGUERRE

Pomiędzy warzywami o barwie miedzianej
zwiędła zieleń jest znakiem żałobnej natury
fałszywy kolor z czerwienią zmieszany
cesarstwa daje barwy spod ściągniętej chmury
rudowłosego głowa upada lecz zna go
smutny przechodzień z bulwaru Arago

dnia skończonego godzino jak smutno
więc robotnica spogląda w zwierciadło
inna na sznurach białe wiesza płótno
obiad spożywa młode kupców stadło
i pusta stoi radości przyczyna
pękata butla czerwonego wina

o rue Daguerre tu ciemnym przechodząc pasażem
zdarłem krawat jak wawrzyn krawat który zdradza
że nie jestem szoferem woźnicą tragarzem
lecz że jest we mnie pieniądz pycha złość i władza
rue Daguerre ja spokojniej w tym pięknym wieczorze
wspomnienie twej prostoty zapewne zaliczę

uciekasz tędy pycho na szczudłach ze złota
unosząc dumne czoło jak władzy emblemat
i srebrny pada pieniądz na pościele z błota
jak starzec w młode łoże gdzie dziewczyny niema
rue Daguerre ja spokojnie, w tym pięknym wieczorze
w hoteliku niedrogim do snu się ułożę

sen będzie bez marzenia spokojny i twardy
bo obok drugie ciało jak zwierzę oddycha
noc będzie bez rozpaczy bez łez i pogardy
miłość będzie zmęczenia a prostota pycha
nad ranem dłoń mą bierzesz jak Orfeusz lirę
więc cię nakrywam sobą by zgłuszyć śpiew syren

bez godziny za ciężką dyszymy zasłoną
a dłonie nasze jak dwa ptaki biegły
jak ty w fabryczne mury ja wkraczam w twe łono
zbudowane z żelaza i bronzowej cegły

wieczorem wracasz pycho po codzienny żer
mijam miłość opuszczam piękną rue Daguerre

FRANCISZEK PARECKI

Miejsce dla sztuki!

„Artysta tworzy dla siebie i dla ludzi. Z chwilą, w której skończył swą pracę, jeżeli zrobił ją dobrze, zadowolił siebie. Jeżeli dzieło swoje pokazuje ludziom, to znaczy, że dba o ich współczucie, opinję... Skoro ludzie ci odwracają się do jego dzieła plecami, skoro im to jest niepotrzebne, nie zajmuje ich, nie euntuzjazmuje, pocóż ma istnieć?“.

St. I. Witkiewicz.

Plastyk szczery, nie schlebiający nietrwałym upodobaniom nietrwałego systemu miłościwie nam panującego, znalazł się za drzwiami. Dotychczasowy pracodawca wyrzucił go bez odszkodowania, nowy nie znalazł się, albo jest zbyt słaby, żeby błyskiem żarliwego zainteresowania zapłacić plastykowi za jego dzieło. Plastyk z głową pełną pomysłów, wlokąc za sobą ogon wykonanych bez echa prac, błąka się po długich korytarzach ludzkich doznań, niezauważony, popychany, odsyłany do jutra. Pukający do zamkniętych okienek oczu widzi tabliczkę: „Posad wolnych niema“.

Są. I dlatego konieczne wydaje się zapukać mocno i zawołać:

Człowieku! w imieniu twoich własnych potrzeb — otworzyć!

Wołać, to za mało. Trzeba jeszcze wylegitymować się faktem, że istnieją potrzeby, które zaspokoić może plastyka, i że są one ważne, oraz wykazać źródła istniejącej bierności. To jest zadaniem niniejszego artykułu.

I

Zaczynam od stwierdzenia tych potrzeb, których najpewniejszym dowodem istnienia jest fakt zaspokajania ich przez ludzkość nieprzerwanie, aż do dnia dzisiejszego. Ten sam popęd kazał mieszkańcom jaskiń pokrywać ich ściany rysunkami ze swego życia i zdobić ornamentem naczynia, ten sam popęd wyrywa z kieszeni półanalfabety ostatnie grosze na kolorowy oleodruk i rozwiesza w kurnej chacie barwne bibułki. Tak samo uśmiecha się dzikus do świecidełek na szyi, jak rachityczne dziecko proletarjusza do kwiatka w doniczce, zastępującego mu nie oglądaną w kamiennej trumnie naturę. I z tem samem wzruszeniem dzikus i dziecko będą oglądać prymitywny rysunek swojego psa lub kota. I takie samo wzruszenie towarzyszy artyście wiejskiemu, rzeźbiącemu świątka, czy toczącemu gliniane miski, co helleńskiemu ceramikowi, wsłuchanemu w stuk dłuta Praksytelesa. Bo wieczny jest pociąg człowieka do pewnych plam barwnych czy kresek ornamentu i do form, naśladujących jego przeżycia. Jedynie w miarę lat rozszerzyła się skala tych przeżyć. Ale człowiek nauczył się także łączyć w swej sztuce popęd do kombinowania barw i kształtów z chęcią przedstawiania swego życia. Te potrzeby, dające się zaspokoić jedynie za pośrednictwem wzroku, nie straciły na wadze, jakże często jednak zaspokaja się je namiastkami.

Może więc potrzeby te, chociaż istnieją tyle lat, nie są dość ważne, by je uwzględniać w programie urządzenia świata?

Dążenie do ulepszonego sposobu życia człowieka, oparte na materjalistycznem pojmowaniu wszelkich zjawisk, uwzględnia wszelkie potrzeby ludzkiego ciała i umysłu, a więc i te, które zaspokoić możemy przez doznania zmysłowe.

Dla materjalisty wszystkie są ważne, choć w zależności od warunków ekonomicznych mogą różną kolejność zajmować w konieczności natychmiastowego ich zaspokajania.

Głód i brak dachu nad głową będą dla głodnych i bezdomnych silniejszym bodźcem działania, niż chęć słuchania symfonji Beethovena. Ale ten stan nie jest ani słuszny, ani wieczny i nie wolno do niego naginać potrzeb innych. Jeżeli dzieje rewolucyj społecznych wykazują tak wielki udział artystów, to nie dlatego tylko, że ludzie ci, jak chce koniecznie Hendrick de Man, byli bardziej od kupców czuli na nędzę bliźnich, ale dlatego też, że warunki istniejące zobojętniły masy na sztukę. I dlatego w dniu, kiedy rewolucja niosła ludowi wolność i chleb, artyści zamieniali pałace i kościoły w bezpłatne muzea, a na placach Paryża stawiali arcydzieła rzeźby, żeby później w kraju zwycięskiego proletarjatu pokryć monumentalnem malarstwem ściany klubów robotniczych i fabryk.

Rzeczą sztuki zawsze i wszędzie jest zaspokoić potrzeby umysłu nie przez spekulację myślową, ale przez zadośćuczynienie zmysłom, bo oczy i uszy pozostaną głodne i zziębnięte w ciepłych mieszkaniach sytych ludzi, jeśli nie otrzymają należnej im części.

Wszędzie tam, gdzie sztuka ma oddziaływać nie swoją formą, ale pominąwszy zmysły, wyłącznie treścią — przestaje istnieć. Doskonałym przykładem mogą być wystawy hitlerowskie, które, wyrażając histeryczny „dynamizm“ w temacie, w formie cuchną trupem na milę. Wynika to stąd, że artysta faszystowski w większości wypadków nie ma określonego stosunku do narzuconego zgóry tematu, nie może znaleźć **własnej** formy dla **cudzego** tematu.

Dlatego też artykuł niniejszy, którego zadaniem jest atakowanie bierności społeczeństwa w stosunku do plastyki, nie apeluje do „czynników miarodajnych“ o opiekę, tragicznie kończącą się zazwyczaj dla sztuki, ale zwraca się bezpośrednio do ludzi, szczególnie zaś tych, którzy, walcząc o postęp społeczny, powinni być również pierwsi w torowaniu sztuce i artystom miejsca na świecie.

Ale człowiek często nie ufa plastyce i temu, że jest powołany na jej odbiorcę i opiekuna i usuwając się od głosu, przyjmuje w rezultacie zupkę pomocy zimowej z łaskawej ręki klasy rządzącej.

Bezrobotni demoralizują się łatwo i, tracąc wiarę we własne siły i zadania, stają się materjałem na szturmówki faszystowskie. Tak samo zlumpiałe zmysły. Trzeba więc człowieka nauczyć patrzeć, wykazać mu, że patrzeć potrafi i może stąd czerpać pełne zadowolenie. Trzeba przywrócić godność zglajchszaltowanym zmysłom i umysłom i uświadomić je w walce.

Bo wszystko to, przy czem silniej uderza serce człowieka, wszystko to, przy czem silniej błyszczą jego oczy, wszystko to, co go raduje i wzrusza, godne jest uprawy i opieki.

II

Jakiż sposób ma plastyka, żeby trafić do ludzkich oczu, żeby człowieka pobudzić i wzruszyć?

Tylko jeden: formę plastyczną — barwę i kształt.

Rzeczy najprostsze: to co cieszy dziecko w czerwonej szmatce na szyi kota, co nam zapiera oddech wobec majestatu gór i morza!

Dlaczego więc człowiek często ucieka od obrazu, bąkając coś, że się na tem nie zna?

Ruskin mówi: „Każdy wie, co jest słuszne, ale nie każdy wie, co jest możliwe“.

Istnieje lęk człowieka przed nieodkrytemi prawami natury, przed błyskawicą czy zaćmieniem słońca, ale **widzeniu** przez człowieka tych zjawisk towarzyszyły pewne wzruszenia zanim poznał źródła energji elektrycznej i prawa krążenia planet.

Tak więc dzieło plastyki trzeba przedewszystkiem **widzieć**!

Bo plastyka niczego nie wymyśla. Wszystkie formy istnieją w naturze, tylko w ilości, której nie można objąć jednem spojrzeniem. Jeżeli czegoś nie rozumie się, to dlatego, że artysta ukazał nam nieznaną dotychczas stronę.

„W zakres malarstwa wchodzi wszystko to, co w naturze jest kształtem i barwą i to wszystko, co z człowieka zapomocą barwy i kształtu da się wypowiedzieć“ — powiada Witkiewicz: więc zasięg ogromny.

Ale plastyka nie robi wynalazków, jedynie odkrycia i pozwala nam poznane kształty i barwy powtarzać dosłownie albo dowolnie kojarzyć. Tam, gdzie kończą się ludzkie skojarzenia, wywołane widzianą formą — kończy się plastyka.

Plastyka nie robi wynalazków, jedynie odkrycia. Jest poto, żeby porażonym wielością zjawisk ludziom ukazywać poszczególne aspekty ich świata.

Plastyka nie robi wynalazków, pokazuje nam to, co jest i to bardzo jest — świat, w którym żyjemy. Fantazja malarska jest tylko utrwaleniem na bardzo czułej kliszy dziwów, oglądanych podczas odkrywczej podróży w głębie rzeczywistości. I zdziwienie, wywołane nowym obrazem świata jest równe zdziwieniu, że wyglądamy tak, jak nam pokazuje zdjęcie roentgenologiczne, albo zdziwieniu nieuświadomionego parjasa, że zarówno jego nędza, jak i chęć zlikwidowania jej wynikają z przyczyn ekonomicznych.

I tak samo jak ostrogi ekonomiczne będą spinać do walki dojrzałe klasy, niezależnie od naszego stosunku do teorji Marxa, tak samo jak ziemia wirowała w przestrzeni, zanim uwierzyliśmy Kopernikowi, tak samo istnieje w świecie ogrom kształtów i barw, których poszczególne zespoły ukazuje nam plastyka ponad naszemi chęciami. Ale raz odkryta Ameryka ukryć się nie da. Jak każda prawda. Jest i zwycięży.

Skąd więc bierze się w człowieku uczucie obcości w odniesieniu do pewnych form?

Stąd, że różny jest nasz stosunek do różnych zjawisk życia, że jedna forma budzi w nas miłe, inna przykre skojarzenia, trzecia, obca — żadnych.

Obcość, to odległość naszych skojarzeń od widzianej formy.

Bo, znowu cytując Witkiewicza, człowiek szuka w plastyce „podrażnień czuciowych lub ilustracji swoich pojęć“.

I tu ostatecznie trafiamy na motor, który swoje doznania świata przerabia środkami plastycznemi. Jest nim artysta, bynajmniej nie jakaś osobowość poza czasem i przestrzenią, ale przedstawiciel klasy, której podrażnienia czuciowe powoduje, której pojęcia ilustruje. Bo będą one różne u ludzi, należących do różnych, zwalczających się klas.

Zastrzegam się tu przeciw mechanistycznemu pojmowaniu klasowości artysty, jako wyłącznie świadomego działania w interesie tej lub innej klasy, gdzie pochodzenie lub przynależność organizacyjna decydują o charakterze klasowym dzieła. Trudno o sąd bardziej fałszywy. O klasowości dzieła decyduje wyłącznie to, jakiej klasy istotne potrzeby ono zaspokaja, suma jakich wrażeń złożyła się na jego powstanie, w zasięgu jakiej klasy leżące skojarzenia ono budzi.

„Każdy przedmiot, rzecz każda, albo zjawisko przedstawia całkiem inną **treść**, zależnie od tego, kto i z jakiego stanowiska będzie na nie patrzył.

Żebrak, wyciągający rękę spod płota, jest dla ekonomisty cyfrą w statystyce dobrobytu danego kraju; dla filantropa pobudką do dobrego uczynku, — dla policjanta nieporządkiem ulicznym, — dla sytego filistra wstrętnem i nieprzyjemnem przypomnieniem ciemnych stron życia, dla malarza pewnym charakterem człowieka, wyrażającym się pewnemi kształtami i barwami.

Lecz malarz jest też człowiekiem, dla którego nie obce są kwestje ekonomiczne i społeczne — w którym nędza może budzić współczucie lub odrazę — słowem, może czuć i myśleć jak każdy inny człowiek i te swoje uczucia i myśli starać się wyrazić zapomocą swojej sztuki...“.

Do tych słów Witkiewicza nic dodawać nie trzeba.

III

Artysta może rozumieć i odczuwać potrzeby klasy, do której nie należy, a której świat doznań jest mu bliski. Może rozumieć i czuć lepiej od niektórych przedstawicieli klasy, której potrzebom służy, może być również czasowo niezrozumiany przez nich.

I tylko ta artystyczna przynależność klasowa jest przynależnością istotną.

Zarówno deklaracje ustne czy związki organizacyjne przy jednoczesnej obcości artystycznej, jak i bliskość artystyczna niepoparta świadomością klasową — niczego tu nie zmienią.

„W moralności, jak w sztuce, słowa nic nie znaczą, czyny to wszystko“ — woła E. Renan.

Nie wiem, jaki jest człowiek, znam jego czyny, nie wiem, jaki jest artysta, znam jego dzieło i ono właśnie posiada niezmyte piętno klasowe.

Oceniam z punktu widzenia klasowego dzieło i na jego podstawie wnioskuję o artyście, nie odwrotnie. Badając rzekę życia ludzkiego od źródeł do ujścia możemy zabłąkać się w labiryncie delty; idąc odwrotnie, do źródeł, trafimy zawsze.

Znakomitemi przykładami służby niewyznawanej idei będą dzieła Balzaka i „boskiego“ Perugino, o którym Vasari pisze:

„Był to człowiek mało religijny, którego nie można było przekonać, że dusza jest nieśmiertelna, nawet słowami, dostępnemi dla tego mózgu z porfiru“.

Jest jeszcze jeden czynnik komplikujący tu wszelkie uproszczenia — fakt, że dla artysty widziany obraz stanowi również konkretną rzeczywistość i może być źródłem głębokich przeżyć i wzruszeń. Powstawanie pewnych ciągów następnych za jakąś silną indywidualnością uniemożliwia w wielu wypadkach akt odkrywczy, sprzyja natomiast przyjmowaniu formy wspaniałego poprzednika mimo jego obcości klasowej.

Dworska sztuka Francji XVIII w. pozostawała pod urokiem mieszczańskiej sztuki północy, dziś trudno się wyzwolić spod uroku impresjonistów i Cézanne'a.

Mówiąc więc o sztuce klasowej, należy brać również pod uwagę zdolności odkrywcze artystów i ich możność przeciwstawienia się ciągom, inaczej stosunek ich wrażliwości na życie do wrażliwości na dzieło sztuki.

Równie jak artysta może nie zdawać sobie sprawy z tego, kogo reprezentuje, tak samo niektórzy przedstawiciele reprezentowanej przez niego klasy mogą nie rozumieć, co może zaspokoić ich potrzeby i mogą stawiać zgoła fałszywe wymagania.

Podobnie nie każdy stuprocentowy **proletarjusz** musi być uświadomiony klasowo i może w swem niezorgnizowanem dążeniu do poprawy bytu popełniać różne błędy. Dlatego też jeśli podejmujemy się uświadomienia masom ich istotnych potrzeb i sposobów zaspokojenia ich, musimy również uświadomić je plastycznie, wyjaśnić zadania i możliwości sztuki, nauczyć patrzeć i badać zjawiska sztuki jak każde inne.

Bo istnieje jeszcze jedna strona tego niezrozumienia. Artysta nawet najbardziej świadomy i niezamknięty w ciągu następczym przychodzi jednak z bagażem kulturalnym klasy, która go wychowała, podczas gdy klasa, do której przychodzi, jest naskutek warunków ekonomicznych zupełnie obca tej kulturze. Człowiek całkowicie nieprzygotowany i niewyrobiony kulturalnie może nie rozumieć przejawów kultury i przyswajać sobie cechy bezwartościowe, widząc w nich ułamek „lepszego świata“, do którego chciałby się dostać, może odnosić się do nich obojętnie, może wreszcie ustosunkować się wrogo do wszelkiej kultury z pasją ikonoklastów, uważając **każdą** za wymysł klasy rządzącej.

Ale tem bardziej obowiązkiem plastyka świadomego jest poznanie prawdziwych potrzeb klasy, której służy, i zaspokajanie ich, nie podporządkowując się chwilowym upodobaniom, wypływającym z braku uświadomienia. Nie dawać jałmużny, ale nauczyć walki o wszystko, co się należy, chociażby proszący widział w żebractwie jedyne wyjście z sytuacji.

Dlatego nie anegdota tematyczna, ale zaspokojenie potrzeb klasy za pośrednictwem wzroku, przez odkrywanie właściwych jej form świata — oto obowiązek artysty.

Ilustracja zewnętrznych przeżyć klasy może również być tematem, ale należy pamiętać, żeby nie było to jedynie „biblją dla nieczytających“, formą plastyczną, zastępującą niedostępną dla analfabetów formę literacką, ale dzieło plastyki.

Bo, niech mi będzie wolno jeszcze raz posłużyć się sformułowaniami Witkiewicza: „Życiem sztuki jest wieczne dążenie do wyrażania się duszy ludzkiej, czy to będą jej stany podmiotowe, czy też załamanie się w niej wrażeń zewnętrznych...“ — pamiętajmy jednak, że — „malarz musi to, co maluje, widzieć przed sobą lub w myśli, wiedzieć nie wystarczy do zrobienia obrazu“.

Artysta przedstawia więc tylko kształty i barwy, które rozumie jako artysta i jako człowiek. Ale nie jest obojętne ani co ani jak maluje, bo i fakt wybrania pewnego tematu, jak i stosunek artysty do niego będą określały jego pozycję klasową. Inni są robotnicy Aleksandra Gierymskiego, inni Käthe Kollwitz.

Nie jest również rzeczą obojętną, jakiej klasy wykładnikiem jest artysta, gdyż różne są ideologje różnych klas i różne perspektywy wiążą się ze zwycięstwami każdej z nich. W konkretnym wypadku artysta pozostający w zasięgu ideowym klasy proletarjackiej nie potrzebuje zamykać się w kręgu aktualnych doznań swej klasy, ale może tworzyć wartości ogólnoludzkie, pozostające na drodze dążeń proletarjatu; podobnie proletarjat nie uważa za cel ostateczny swej dyktatury nad innemi klasami, ale budowę społeczeństwa bezklasowego. Dziś, w dobie tworzenia na urząd wyraźnie jednoklasowej sztuki faszystowskiej powszechność artystów proletarjackich jest jeszcze jednem istotnem przeciwstawieniem zarówno bombastycznym konkursom, urządzanym na tematy obce społeczeństwu, jak i płaskiemu utylitaryzmowi grafiki użytkowej.

Praca odkrywcza stanowi życie artysty i będzie ją wykonywał, ale niech pracuje szczęśliwie, niech ma jak najlepsze w danym okresie warunki do pracy. Te warunki, to zainteresowanie świata, do którego swą pracą należy.

Bo społecznem zadaniem plastyka jest być precyzyjną lunetą swej klasy na świat i ukazywać jej to, co w nim dojrzeć chce i powinna. I choć może niekiedy wyprzedzać poszczególnych ludzi tej klasy, jest jej bezspornym przedstawicielem, bo to jej właśnie tęsknoty pognały go na szukanie nowej drogi do Indyj, choć często sam nie przeczuwa, komu zdobyte skarby powierzy.

Tragicznie jednak wyrusza na podbój świata, żegnany obojętnością albo ironją tych, którym chce go rzucić pod nogi.

Ludzie, walczący o wolność! Wasz plastyk wyruszył na wątłej łodzi. Dajcie mu busolę na drogę, by nie błąkał się daremnie, a skoro ją ma i świadomie płynie po kolor i kształt wspólnej walki i zwycięstwa, oczekujcie jego powrotu z podróży; interesujcie się jego losem. Czytajcie komunikaty z jego codziennych zmagań, zbliżających go powoli do celu; czytajcie uważnie i serdecznie, starając się zrozumieć tekst często trudny, pełen skrótów pospiesznych, w niezrozumiałym często pisany języku.

Wszystkim, wszystkim, wszystkim!

Sięgnijcie po jedyny słownik tych trudnych spraw, po serce. Otwórzcie na słowach „za naszą i waszą wolność“. Zrozumiecie napewno.

W poprzednim (72) numerze „Sygnałów“ z dnia 1 lipca: **Stefan Rudniański:** Narzecze Konstytuanty i Konwentu. — **Izydor Berman:** Joseph Roth i Ernst Toller. — **Izabella Ignatowiczowa:** Cyganie. Oczekiwanie. — **Stanisław Wygodzki:** Epoka. — **Juozas Keksztas (przełożyła W. Górska):** Chociaż ognie gasną. Droga. — **Jan N. Miller:** Odpowiedź Wiktorowi Alterowi. — **Antoni Pokorski:** Szlachetczyzna a oświata ludowa. — **Zygmunt Jarosz:** Komu służy Hitler? — **Erbin:** Czyżby nowa ewangelja? — **Jerzy Putrament:** Wśród nowych powieści polskich. — **Anna Borowicz:** Rzecz o demokracji. — **Franciszek Gil:** Glossy wojenne. — Wśród czasopism. — **T. Świecki:** Niebezpieczeństwo eklektyzmu ideologicznego. — **Kazimierz Frankowski:** Chłopska wiosna. — Zmarł Eugeniusz Mroczek. — **Debora Vogel:** Wystawa Zaw. Zw. Art. Plastyków. — **Jerzy Kamil Weintraub:** Modlitwa o utensylja. — **Teodor Bujnicki:** Lolo. Ząb. — Korespondencja **(Ludwik Lenk).** — 8 stron. 4 ilustracje.

JAN N. MILLER

Kwestja żydowska*)

Po załatwieniu ogólnych porachunków z Wiktorem Alterem pozwolę sobie obecnie wysunąć najdrażliwszą, jak się zdaje, dla moich polemistów, — sprawę mych wypowiedzi na kwestję żydowską.

Atak zacięty i walkę z mojemi poglądami na tę sprawę rozpoczęła już rok temu burżuazyjna prasa żydowska z „Naszym Przeglądem“ na czele, pismo, które do dzisiejszego dnia nie ustaje w fatydze i w gorliwości przypisywania mi wszystkich sakramentalnych faszystowskich grzechów świata, byleby mnie zdyskredytować wobec mych ideologicznych towarzyszy.

Przed rokiem zresztą narówni ze mną na liście „antysemickich“ współpracowników „Robotnika“ znajdował się również — w opinji „Naszego Przeglądu“ — redaktor pisma, Mieczysław Niedziałkowski...

Chcąc się znaleźć jednak w niezaprzeczenie czcigodnem towarzystwie, wspomnę, korzystając z okazji, że na pół roku przed śmiercią — i Andrzej Strug nie ustrzegł się bardzo powściągliwego zachwytu burżuazyjnej prasy żydowskiej, gdy jako prezes warszawskiego oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich nie zgodził się na współdziałanie ze Związkiem Literatów i Dziennikarzy Żydowskich w walce z antysemityzmem.

Podkreślam więc ubocznie, że to co p. B. Aronson w lwowskiej „Naszej Opinji“ (2 lipca 1939 r.) nazywa „antysemityzmem w masce lewicowej“ ma dłuższą historję i obejmuje nie tylko, jak mu się zdaje, J. M. Borskiego — i niżej podpisanego, lecz znacznie większą ilość lewicowców o nazwiskach nierównie bardziej efektownych.

Całe nieporozumienie polega tutaj na tem, że to co te pisma nazywają „antysemityzmem“, jest pierwszą wątłą próbą niepoddawania się z tej strony barykady — tyranji prasy i opinji żydowskiej w sprawie żydowskiej, usiłowaniem wywalczenia niezależności sądu nawet w tej zakazanej przez niewiadome tabu dziedzinie.

Przyznam się, że badając rezultaty ankiety, jaką w swoim czasie ogłosiły śród pisarzy „Wiadomości Literackie“, doszedłem do wniosków bardzo pesymistycznych na temat wagi argumentacji i odwagi cywilnej przeważnej części uczestników ankiety.

Szczególną filuternością sądu wyróżniała się tam wypowiedź Emila Zegadłowicza, którego zresztą bardzo cenię jako pisarza i poetę.

Wywiady i odpowiedzi ankietowe nie zawsze mu się udają. Nie mając pod ręką tamtego materjału, pozwolę sobie zacytować inną opinję Zegadłowicza w tej sprawie, utrwaloną w „Czarno na Białem“ (nr. 12 z 19 marca 1939 r.).

Na pytanie „wywiadowcy“, Henryka Bernego: „Czy zdaniem Pana exodus Żydów z Polski wpłynąłby dodatnio na rozwój gospodarki narodowej?“ — Zegadłowicz odpowiada: „Sądzę, że jak najujemniej: Żydzi są dobrymi kupcami, ruchliwymi kupcami; są też bardzo lojalnymi obywatelami. Pytanie się kupca, jakiego jest wyznania czy jakiej narodowości, jest nonsensem i jedną z tych niezliczonych sprzeczności, w jakie obfituje nasza współczesność. Robienie mu z przyczyn wyznaniowych i narodowościowych zarzutów, potępianie go i zwalczanie za to — to się w zdrowo myślącej głowie nie mieści“...

Przyznam się ze wstydem, że w mej „głowie się nie mieści“ ani to pytanie, ani ta odpowiedź.

„Wywiadowca“ bowiem, znajdując się widocznie... pod urokiem terminologji „Gospodarki narodowej“ A. Doboszyńskiego, suponuje, że w Polsce „gospodarka narodowa“ — tak jak to „illo tempore“ bywało — nie może obejść się bez Żydów...

Zegadłowicz zaś, biorąc za dobrą monetę niedorzeczne pytanie — zawód kupiecki Żydów uważa za najwyższą, nadrzędną hierarchję istnienia, której nie dotyczą takie mankamenty i ułomności istnienia jak wyznanie i narodowość...

Ten fakt. np. że zawód kupiecki Żydów może się dawać jednak we znaki tym, którzy padają ofiarą pewnego systemu eksploatacji handlowej — to dla Zegadłowicza jest rzeczą, która „nie mieści mu się w głowie“... Przyznać się muszę, że lepsze miałem wyobrażenie o pojemności głowy świetnego poety.

Mniejsza zresztą o to. Chodziło mi o ilustrację tego, jak lekkomyślnie i bez pokrycia wypowiada się często sądy dla zdobycia doraźnego aplauzu i zyskania dobrej opinji w społeczeństwie żydowskiem. I że tylko tak lekkomyślne i nieopatrzne sądy znajdują aprobatę w burżuazyjnej prasie żydowskiej.

Jakakolwiek próba oświetlenia tej kwestji nie z punktu widzenia portretu kupca żydowskiego jest oczywiście „faszyzmem“ i „antysemityzmem“.

Wróćmy tedy do rzeczy.

Wiktor Alter a za nim Jerzy Boreisza („O wierność starym sztandarom“, „Sygnały“, nr. 71) zarzucają mi wiele nieścisłości w oświetleniu sprawy żydowskiej.

Twierdziłem, że źródeł antysemityzmu w Polsce należy poszukiwać m. in. w chorobliwej strukturze społeczeństwa żydowskiego, w położeniu ekonomicznem ludności żydowskiej. Że Żydzi, zatrudnieni głównie w handlu, przemyśle i kilku działach pracy umysłowej, skupili w swoim ręku nieproporcjonalną do swej ilości część kapitałów ruchomych i nieruchomości miejskich, że droga od uregulowania tej kwestji prowadzi przez zróżniczkowanie ekonomiczne i zawodowe ludności żydowskiej, przez upodobnienie jej do struktury gospodarczej otaczającego ją środowiska.

Alter w związku z tem zdaniem z właściwym sobie furjackim entuzjazmem wymyśla mi od „ignorantów“ („czyby wodzowi „Bundu“ nie przydało się czasem zajrzeć do „Słowniczka wyrazów obcych“ i zbadać przy sposobności znaczenia wyrazu „ignorant“?), po przejściu zaś ataku furji i nałożeniu przez chwiejny rozsądek kaftana bezpieczeństwa zdobywa się na jeden argument: czyż nie wiem, że większość ludności żydowskiej żyje w nędzy i że większy jej odsetek żyje z pracy fizycznej (nie z handlu i pracy umysłowej), aniżeli wśród ludności „rdzennej“.

Ależ mogę zapewnić Altera, że te rzeczy (oczywiście z odpowiednią korektą statystyczną) nie są mi całkowicie nieznane. Choćbym jednak o tem wszystkiem nie miał najmniejszego pojęcia, jeszcze (jak się z cytowanego słowniczka może Alter dowie) mogę nie być ignorantem, gdyż wiedza i niewiedza niekoniecznie polega na znajomości statystyki, określającej w odsetkach stan zróżniczkowania zawodowego ludności żydowskiej.

Wracając jednak do rzeczy, stwierdźmy, że znowu i w tym wypadku Alter śród ludności „tubylczej“ nie uwzględnia chłopstwa. „Mały rocznik statystyczny“ za rok 1938 określa ludność państwa polskiego w odsetkach według źródeł utrzymania i wyznania jak następuje: na 100 mieszkańców utrzymujących się z handlu przypada 59 — wyznania mojżeszowego, na 100 mieszkańców, utrzymujących się z przemysłu — przypada 21 — wyznania mojżeszowego, podczas gdy ludność żydowska tworzy, jak wiadomo, 10% ogółu ludności.

Jeżeli Alter mówi, że większość ludności żydowskiej utrzymuje się z pracy fizycznej, to gdy uwzględnić chłopstwo, należałoby stwierdzić, że w społeczeństwie chrześcijańskiem chyba 90% utrzymuje się z tego rodzaju najmniej popłatnej pracy — ogół więc obywateli znajduje się w znacznie gorszych warunkach niż społeczeństwo żydowskie.

Nie neguję zresztą bynajmniej istnienia nędzy wśród proletarjatu, rzemieślników i straganiarzy żydowskich. Chodzi jednak o procentowe uprzywilejowanie Żydów w popłatniejszych i intratniejszych zawodach — jak w handlu, przemyśle i niektórych zawodach wyzwolonych. Jeżeli opuściłem w rozumowaniu swojem te procentowe wyliczenia, to ze względu na to, że jeśli przytoczyć te dane, jak to teraz robię, nic to nie zmienia, gdyż pozostaje niezmienny sam nagi fakt przytłaczającej przewagi Żydów w handlu, przemyśle i kilku zawodach wyzwolonych.

Jest to właśnie to, co pozwoliłem sobie nazwać chorobliwą strukturą społeczeństwa żydowskiego.

Jeżeli zaś i tych danych Alterowi mało, służę dalszemi.

Ogłoszone obecnie dane Głównego Urzędu Statystycznego na temat statystyki wyznaniowej właścicieli przedsiębiorstw handlowych w roku ubiegłym są następujące:

W rękach Żydów znajduje się — 53% wielkich przedsiębiorstw handlowych, 63% — dużych, 51% — małych, 48% — drobnych, w handlu wędrownym zaś ten % urasta znowu do 60%.

Wiemy, jakie są historyczne przyczyny tego zmonopolizowania niemal handlu w rękach żydowskich, nie znaczy to jednak wcale, żebyśmy teraz po wiekach mieli aprobować wszystkie absurdy gospodarki szlacheckiej w dawnej Polsce.

Przecież ten cały drobny i wielki handel, jeśli chodzi o ścisłość, pasożytuje tylko na pracy wytwórczej i w sposób lichwiarski oprocentowuje swą antyspołeczną rolę, polegającą na tem, żeby wytwórca nie mógł się bezpośrednio porozumieć ze spożywcą.

Dotyczy to, oczywiście, wszelkiego prywatnego handlu, zarówno żydowskiego, jak i chrześcijańskiego. Jeżeli w dawnej Polsce ze względu na afrykańskie stosunki w kacykatach szlacheckich i możnowładczych jakiś Sędzia-Soplica łupił skórę ze swoich poddanych przy nieodzownej pomocy Żyda-karczmarza i pachciarza Jankiela, jak to z rozbrajającą naiwnością ku zbudowaniu narodu zidyllizował Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“, to nie dowód wcale, aby tę piękną tradycję symbiozy i wyzysku szlachecko-żydowskiego w nowej Polsce uznać za wzorową, chwalebną i godną utrwalenia na dalszą przyszłość.

Wiemy dobrze, ile krwi i potu ludu wsiąkło w latyfundja szlacheckie i magnackie, ale wiemy również dobrze, ile krwi, potu, nędzy i poniżenia tego samego ludu wsiąkło w magnackie fortuny kupców i spekulantów.

Jeżeli domagamy się przeprowadzenia reformy rolnej bez odszkodowania, wychodząc z założenia, że bogactwa obszarników nie z ich wszak mrówczej powstały pracy, lecz z krzywdy ludu, — nie widzimy powodu, dlaczego mamy specjalną adoracją otaczać równie korsarski kapitał, nagromadzony z wyzysku kupieckiego, lichwy i spekulacyj.

Zadaniem ruchu spółdzielczego w danej chwili, a socjalizmu w bliższej czy dalszej przyszłości jest unicestwienie tego pasożytnictwa społecznego, reprezentowanego przez pośredników handlowych wszelkiego typu i zapędzenie ich do prawdziwie produkcyjnej pracy. Nie zdaje mi się wobec tego, żeby walka, jaką pewna część społeczeństwa polskiego wydała Żydom, by wyprzeć ich z handlu, miała przed sobą wielką przyszłość. Nie twierdzę jednak, że zmonopolizowanie tego intratnego zajęcia przez Żydów, było słuszne lub godziwe.

Zajęcie to, uprawiane przez wieki, fatalnie zaciążyło na psychice żydowskiej, czyniąc z nich istotnie niemal „naród kupiecki“ ze wszystkiemi przywarami tej psychiki zawodowej. Utrudnia to w niemałej mierze porozumienie i współżycie z nimi.

Zróżniczkowanie więc zawodowe Żydów jest jednym z nieodzownych warunków zarówno wyrównania potencjału pasożytnictwa między Żydami i innemi pasożytującemi grupami społecznemi, jak i możliwości przystosowania się ich do otaczającego środowiska.

Nie sądzę, by te tezy, które napsuły tyle krwi Alterowi, były sprzeczne z rozwojem dziejowym i społecznym, wskazywanym przez klasyków socjalizmu.

Nierównie przyjemniejsza a mam nadzieję, że i owocniejsza dla samej kwestji może być wymiana zdań z Jerzym Boreiszą, którego wysoka kultura polemiczna i głęboka wiedza nie budzą we mnie żadnych wątpliwości. Bez niesmaku więc poprzedniego zbliżam się do tego nowego przeciwnika.

Na część zarzutów Jerzego Boreiszy, wytoczonych przez niego wspólnie z Alterem, odpowiedziałem przed chwilą. Przejdę więc tutaj tylko do argumentów indywidualnych Boreiszy.

Po pierwsze uwaga historyczna.

Żydzi, zdaniem Boreiszy, zostali sprowadzeni do Polski jako przeciwwaga na wpływy niemieckie, podczas gdy ustrój feodalny sabotował rozwój własnego mieszczaństwa.

Zdanie to zawiera szereg nieścisłości.

Że ustrój feodalny nie mógł zasadniczo sabotować rozwoju własnego mieszczaństwa, świadczy jego rozwój we Francji, Włoszech i Niemczech. We Francji królowie zdołali się nawet oprzeć na miastach w walce z możnowładztwem szlacheckiem.

Jeżeli w pewnej nawet mierze mogli w Polsce królowie i książęta popierać imigrację żydowską dla przeciwdziałania wpływom niemieckim, to było to, niestety, wypędzanie djabła przy pomocy Belzebuba. Przyznać bowiem trzeba, że mieszczaństwo niemieckie uległo w następstwie całkowitemu niemal spolszczeniu, podczas gdy Żydzi dzięki całkowitej odrębności swej psychiki i obyczajów wyłączyli lwią część miast polskich ze wspólnoty narodowej, nadając im charakter całkowicie azjatycki.

O właściwych przyczynach popierania Żydów przez królów i książąt polskich mówi J. K. Kochanowski w swoim „Kazimierzu Wielkim“ zgoła inaczej: „Potężny a łaknący dóbr doczesnych protektor chował sobie Żydów jako **stado kur, niosących złote jaja**, których częstego podbierania nie zaniedbywał nigdy, wierząc święcie, że go Pan Bóg Żydami w tym jedynie celu obdarował i że najbardziej wyuzdane łupiestwo nie jest żadną względem nich niesprawiedliwością, gdyż jako własność pańska ciułają grosze jedynie dla swego pana“.

Żydzi, dojeni i podbierani przez książąt i szlachtę, odbijali to sobie na wyzysku chłopa, którego na pastwę im oddaje już przywilej kaliski z r. 1264. Ta wspólnota pasożytnicza Żyda i szlachcica kosztem chłopa przetrwała przez cały ciąg dziejów Polski niepodległej, zabory i trwa z niewielkiemi zmianami na lepsze do dzisiejszego dnia.

Żydów w Polsce otaczano opieką, dobrodziejstwami i przywilejami wtedy, gdy chłopi nie mieli żadnych praw i byli wydani na pastwę samowoli panów i ich patrymonialnych sądów. Dziwić się więc nie można wcale, że opanowali miasta, zarzucili sieć wpływów na wsie i osady, że rozmnożyli się tak, jak w żadnym kraju Europy. Są to wyniki gospodarki szlacheckiej w dawnej Polsce.

Czyż można się jednak dziwić, że w w. XX, kiedy bądźcobądź t. zw. zbiorowość polska (pozaszlachecka) stara się dojść do jakiegoś głosu i jakichś praw, trudno oczekiwać — i sami Żydzi powinni zdać sobie z tego sprawę — że właśnie **lud** polski i **demokracja polska** musi tę sprawę rozpatrzeć na nowo, nie mogąc pokrywać ani aprobować potwornych dla państwa i zbiorowości polskiej wyników egoizmu stanowego szlachty epok minionych.

I dlatego, przyznać się muszę, rozwiązywanie w Polsce kwestji żydowskiej przy pomocy zwykłych równościowo obywatelskich haseł demokratycznych, wydaje mi się, niestety, absurdem zarówno historycznym jak i społecznym.

Na organizmie życia polskiego Żydzi (mówię rzecz prosta, o masie żydowskiej, nie zaś o Żydach-Polakach, których nie odróżniam od innych Polaków) utworzyli chorobliwą narośl, żywiącą się sokami tego organizmu w sposób pasożytniczy. Żaden zdrowy organizm nie może się pogodzić z istnieniem tego chorobliwego stanu, z azjatyckim charakterem miast i osad polskich.

Nasi „postępowcy“, unikający myślenia, sądzą, że „prawa człowieka“, że wzniosłe zasady humanitaryzmu rozwiązują wszystko. Są to, oczywiście, śmieszne truizmy, dobre dla sparaliżowanych starców i mózgownic.

Cóż — muszę przypomnieć tu jedną ze swoich tez z „Na gruzach Grenady“:

„Nikt nie ma żadnych praw do niczego, nie wyłączając życia, dopóki ich nie zdobędzie w procesie wytwarzania“.

Otóż stwierdzić trzeba, że lwia część społeczeństwa żydowskiego tych praw w procesie wytwarzania nie zdobyła, gdyż wobec tego procesu zajęła pozycję pasożytniczą. I niema właśnie żadnego powodu ani racji, żeby demokracja polska, budująca społeczność na społecznie pożytecznej pracy, mogła — w imię abstrakcyjnej i śmiesznie nadużywanej w tym wypadku zasady równości — ten stan rzeczy tolerować.

Nie — parawanik demokratyzmu nie osłania i ukryć nie może **gospodarczej anomalji** pasożytującego na ciemnocie ludu polskiego drobnego czy wielkiego handlu żydowskiego.

Z taką samą słusznością i racją, z jaką się podważa „święte“ prawo własności pijawek obszarniczych, dążąc do konfiskaty latyfundjów, — z taką samą słusznością ma się prawo — nawet w tym koślawym ustroju, w jakim żyjemy — dążyć do unicestwienia czy konfiskaty na rzecz społeczności z tych samych źródeł pochodzącego pewnej postaci kapitału handlowego, co skrupić się może przedewszystkiem na Żydach.

Gdzież wolność i demokracja — ryknie na to Alter, wzburzywszy swoją falującą czuprynę?

Muszę powtórzyć tu to, co rok temu powiedziałem w „Robotniku“:

„Walcząc o wolność i demokrację, o przebudowę ustroju społecznego, lewica polska zmierza również do rozwiązania sprawy żydowskiej lecz **w ramach ogólnego planu przebudowy,** — nie może natomiast, jak chce żydowska prasa burżuazyjna, **zakreślać pojęcia wolności i demokracji promieniem wodzącym sprawy żydowskiej,** gdyż doszlibyśmy do logicznego absurdu, potwierdzając w ten sposób wszystkie insynuacje prawicy o demokracji jako o parawaniku wpływów i panowania żydowskiego“.

Co Żydzi wobec tego mają ze sobą zrobić?

Nie wiem i nie moją jest sprawą wyręczanie w myśleniu tak czynnej obecnie wspólnoty narodowej Żydów. Stwierdzam tylko ubocznie, że Boreisza przecenił zlekka mój „filosemityzm“.

Mówiłem wszak w atakowanym artykule, że należy dążyć do zróżniczkowania ekonomicznego i zawodowego ludności żydowskiej, do upodobnienia jej do struktury gospodarczej otaczającego ją środowiska. Wskazywałem jednak i na to, że wobec poważnego oddziaływania ruchu syjonistycznego, który wzmaga w Żydach poczucie narodowe często nawet w jego imperjalistycznym zasięgu — **nie dla wszystkich Żydów** ta droga zostaje jeszcze otwarta.

Sądzę więc, że Boreisza niezupełnie słusznie przeciwstawia mnie J. M. Borskiemu jako grzecznego Dyzia — niegrzecznemu.

Zgadzam się z Boreiszą, że akcja antysemicka, którą hitlerowcy narzucają czy sugerują światu otaczającemu może mieć w dalszych konsekwencjach na celu wyparcie Żydów przez Niemców i kapitału żydowskiego przez kapitał niemiecki. Nie podważa to jednak samego faktu istnienia korsarskich zysków kapitału handlowego i spekulacyjnego, którego zachłanność państwo może znacznie prędzej ukrócić, niż całemu społeczeństwu uda się przejść na formy wytwórczości socjalistycznej.

Nie należy przekładać na przyszłość, bliżej nieoznaczoną tych zmian, które można przeprowadzić nawet w granicach panujących form ustrojowych.

Nie o stragan tylko, jarmułkę i chałat chodziło mi w kwestji żydowskiej, jak mi to Boreisza niezbyt słusznie w zakończeniu swego rozumowania sugeruje, lecz właśnie o aktualne przewarstwowienie społeczeństwa i walkę z korsarstwem kapitału spekulacyjnego, reprezentowanego głównie przez Żydów, tego kapitału, który nie zasługuje na większą obronę, niż równie pasożytniczy kapitał wielkich obszarników.

Pozostałaby jeszcze kwestja różnych „imponderabiliów“ w ustosunkowaniu się wzajemnem chrześcijan i Żydów, treści psychicznej ich wzajemnego oddziaływania. Nie są to rzeczy błahe, ani małe: negować istnienia tych różnic z punktu widzenia radykalnego empiryzmu nie można.

Można się niby zakłamywać pozorami procesu wyrównawczego, odbywającego się przez wieki, wobec jednak aktualnego i nagłego spiętrzenia tych wszystkich przeciwieństw, — jest to pociecha ze wszech miar paralityczna.

Nie będziemy jednak rozwijać już tej sprawy, uważając, że jest ona poniekąd pochodną tych przemian, które się odbywają na gruncie gospodarczego stosunku przeciwstawiających się sobie grup społecznych.

Ta zaogniająca tak nasze myślenie i uskrzydlająca temperamenty „sprawa żydowska“ nie jest wcale najciekawsza z tych spraw, o których mam z Boreiszą do pomówienia.

Wobec jednak nadmiernego spęcznienia pojemności tego polemicznego elaboratu, wymianę poglądów na temat innych spraw, bardziej zasadniczych, pozwalam sobie przełożyć do następnego numeru.

*) Por. „Odpowiedź Wiktorowi Alterowi“, „Sygnały“, nr. 72.

ZOFJA LISSA

LISTY CHOPINA

O ludziach, których twory duchowe nas interesują lub wzruszają, pragniemy wiedzieć jak najwięcej; chcemy znać motory ich twórczości często poto, by twórczość tę lepiej zrozumieć, często jednak także i poto, by komuś, kto się już nie może bronić, kto nie może postawić ochronnego wału milczenia między swoje ludzkie sprawy i wielbicieli swych dzieł — zajrzeć pod podszewkę życia osobistego, za kulisy warsztatu twórczego. Doniedawna takie podnoszenie zasłon znad życia prywatnego wielkich twórców należało niemal do metod naukowych, któremi próbowano wyjaśniać ich dzieła. Do metody tej nie miałam zbyt wielkiego nabożeństwa, i fakt, że „Sonata księżycowa“ Beethovena powstała pod wpływem uczuć kompozytora do Julji Guiccardi, a ten lub ów „Nocturn“ Chopina w takich czy innych okolicznościach, nigdy nie wpływał na sposób estetycznego przeżycia tych dzieł. Dziś na szczęście, wraz z zmienionemi metodami badań twórczości artystycznej (zarówno formalistycznej jak i socjologicznej) rozmiary tej „kumoszkowatości“ maleją. Toteż czytając „Listy Chopina“*) nie mogłam się przez cały czas oprzeć poczuciu dokonywanego na bezbronnym świętokradztwa.

Jaki obraz człowieka urasta z tych listów? Nie ulega wątpliwości, że zdeformowany i niekompletny. Pewne sprawy są tu wyolbrzymione, inne nie dochodzą wogóle do głosu. Chopin, wyraźny schizotymik był skryty i zamknięty w sobie, odznaczał się powściągliwością słowa, zwłaszcza pisanego, która tylko niekiedy wobec najbliższej rodziny pozwalała mu na bardziej bezpośrednie wypowiedzi. Pozatem listy te nie są wymianą zdań i poglądów z ludźmi bliskimi, nie są też wyrazem romantycznej rozlewności uczuć (jak np. listy współczesnego Chopinowi Schmanna). Listy te przedewszystkiem miały informować daleką rodzinę o kolejach losu syna i brata, na całe życie dobrowolnego emigranta; potem to samo miały spełnić wobec nielicznych przyjaciół. Wśród listów Chopina niema listów miłosnych, w których znalazłoby swój wyraz życie uczuciowe artysty, niema listów filozofujących, w których ujawniłby się jego światopogląd. Tylko ubocznie, niejako marginesowo, w półsłówkach sprawy te dochodzą do głosu, świadcząc o skrytości tej psychiki. Są zato listy dowcipne, pełne inteligentnych obserwacyj, humoru i ostrego widzenia rzeczy i ludzi z okresu młodzieńczego, są sprawozdania z światka paryskiego, zwłaszcza artystycznego i arystokratycznego epoki Ludwika Filipa — z okresu dojrzałego i są zmęczone, smutne, coraz bardziej przepojone poczuciem zbliżającego się końca i opisami choroby listy z ostatniego okresu życia.

Jakie jednak cechy charakteru Chopina ujawniają się w jego listach — mimo ich niekompletności? Przedewszystkiem uderza już w pierwszych listach 14-letniego młodzieniaszka ogromne i głębokie przywiązanie do rodziny, zwłaszcza zaś bałwochwalcza wprost miłość do matki. Dla matki znajduje Chopin (zwłaszcza w listach z Paryża) tak serdeczne i wylewne słowa, jakich nie można znaleźć w listach do przyjaciół, do Marji Wodzińskiej czy George Sand. Miłość do matki przybiera w listach z ostatniego okresu życia Chopina charakter beznadziejnej tęsknoty, przechodzącej wraz z malejącemi siłami artysty w rezygnację.

Z pierwszych młodzieńczych listów Chopina przezierają także już kłopoty zdrowotne: z humorem pisze o pigułkach, któremi go karmią, o pijawkach stawianych mu „na gardło“, skarży się, że „piję wodę emetyczną i klejem owsianym tylko się pasę quasi koń“. W miarę lat coraz częściej można spotkać się z wyrażeniami „moje zdrowie nędzne“, „jestem kaszlący i krząkający“. „kaszlę i plastrami obłożony czekam wiosny albo czego innego“; potem pojawiają się ustawiczne wiadomości, że pluje krwią, że się dusi, że nie może sam wchodzić na schody, że go na rękach wnoszą nawet na pierwsze piętro. Te tragiczne marginalja zagęszczają się w ostatnich latach, by zakończyć się hieroglifem, na łożu śmierci już pisanym: prośbą, by otworzyć jego ciało i nie chować go żywcem.

Ale i w tych ostatnich, coraz trudniejszych latach życia nie opuszcza Chopina humor, staje się tylko bardziej zgryźliwy, ostry, satyryczny, staje się ironją, skierowaną niekiedy przeciw sobie samemu i ludziom najbliższym. Humor w latach młodzieńczych wyżywa się w świetnych i plastycznych opisach ludzi (np. typy uczonych ze zjazdu berlińskiego), w ironicznych skrótach, określających rozmaitych wykonawców (np. „Z-ski trawi na scenie“) lub kompozytorów („chociaż ma 40 lat, 80-letnią muzykę komponuje“). Potem w świetnych satyrycznych opisach różnych sytuacyj. Warto przytoczyć choćby kilka. Oto opis przyjęcia w arystokratycznym domu w Wrocławiu: „...wyszedł więc gospodarz z ukłonami, wielkiemi grzecznościami i mnóstwem komplimentów, wprowadził mię do sali, w której po obu stronach ośmiu ogromnych stołów mnóstwo dam siedzących spostrzegłem. Nie tyle brylanty, jakie je zdobiły, ile druty w oczach mi się migały. Bez żartów, liczba dam i drutów była tak wielka, że można się było obawiać jakiego przeciwko mężczyznom powstania, które chyba okularami i łysinami przyszłoby zwalczać; szkieł bowiem mnóstwo, a coraz to goła skóra“. Albo inny opis: „Wczoraj u Beyerów tańczono... jakaś stara, niemiecka Comtessa z dużym nosem i dziurawą fizjognomją, trzymając się (jak to dawniej bywało) zgrabnie dwoma paluszkami za sukienkę, z głową sztywnie do tancerza zwróconą, tak, że aż kości od szyi gdzie która mogła wylazły, dziwne jakieś walcowe pas długiemi a chudemi mamrotała nogami. Godna to jednak osoba, poważna, uczona, dużo gada i ma usage du monde“. Niebrak także satyrycznych opisów różnych ówczesnych znakomitości muzycznych, jak Pixisa, Thalberga, Liszta i in. O Sowińskim, znanym wówczas muzyku polskim (którego zasługą jest wydanie pierwszego polskiego leksykonu muzycznego) pisze: „...włazi jakieś coś z wąsikami, duże, wyrosłe, tęgie, siędzie do fortepianu i samo nie wie co improwizuje, wali, tłucze bez sensu, rzuca się, przekłada ręce, z pięć minut na jednym klawiszu grzechoce ogromnym paluchem, który gdzieś tam na Ukrainie do ekonomskiego batoga i do lejc był przeznaczony“. Portret Liszta też nie wypada szczególnie dodatnio w charakterystyce chopinowskiej: „Liszt sobie każe krzyczeć „er lebe“ w Bonn, gdzie Beethovenowi stawiają pomnik i także się koronowanych spodziewają“. A dalej: „W Bonn sprzedają cygara veritables cigarres à la Beethoven, który wiedeńskie fajki zapewno tylko palił; i tyle już sprzedali mebli, starych biur, starych półek po Beethovenie, że biedny kompozytor de la symphonie pastorale miałby chyba ogromny handel mebli“. Niektóre obserwacje mają wyraźne literackie zacięcie, jak np. opis psa p. Sand: „...rasy w swoim rodzaju przecudnej. Jak deszcz tak do kabrioletu się pakuje i jak się położy, tak głowa z jednej strony się moczy a ogon z drugiej, mimo najdowcipniejszej jego pozycji, żeby się od deszczu ochronić. Ale za duży na takie wygody“.

Nawet w ostatnim okresie, w czasie pobytu w Londynie, kiedy to i zerwanie z George Sand i coraz gorsze samopoczucie niezbyt sprzyjały humorowi, zdobywa się Chopin na satyryczny obraz society angielskiej, zadziwiający bystrością obserwacji i ostrością widzenia małostek ludzkich. Ta ostrość nie zaciera się wcale przy patrzeniu na siebie samego, tyle tylko, że podszyta jest smutkiem, w którym odczuwa się zmęczenie. Oto reminiscencja z wizyty u jednego z francuskich muzyków: „byłem na obiedzie przy kominku, w mojem grubem palcie i przy jego grubym synku. Synek był różowy, ciepły, świeży i z gołemi nogami. Ja byłem żółty, zwiędły, zimny i miałem pod spodniami potrójne flanele“. Ironja jego nie szczędzi nawet George Sand, nie mówiąc już o tych wszystkich, którzy składali się na jego światek paryski, wraz ze swemi mariażami, intryżkami, i towarzyskiemi plotkami. Chopin czasem nawet donosi przyjaciołom o jakiejś soczystej plotce towarzyskiej, zawsze jednak zachowuje umiar treści i języka; uchyla w ten sposób zasłony z życia prywatnego to Liszta, to Wiktora Hugo, to wielu pomniejszych, nie wahając się niekiedy użyć słów tak dosadnych, że dawniejsi biografowie Chopina troskliwie je wykropkowywali.

Atmosfera świata paryskiego sprzed rewolucji 1848 r. odzwierciadla się znakomicie w listach Chopina: jak wszyscy ówcześni eleganci, należący do society paryskiej, dba Chopin — i właśnie w listach daje temu wyraz — o barwę swych rękawiczek i fason kapelusza, o wodę kolońską i materjał na kamizelkę, listownie załatwia „komissy“ dla p. Sand, listownie, poprzez swych przyjaciół, wyszukuje mieszkanie, meble i tapety, a nawet lokaja.

W tych listach brak miejsca na sprawy osobiste, sprawy, które go głęboko poruszały i na lata całe wyciskały na nim swe piętno. Tylko subtelne aluzje w listach do rodziny i bliskich przyjaciół dają im wyraz, i to zwykle w dość znacznym dystansie do zdarzeń, które nim wstrząsały. Nigdy nie pisze nic na gorąco, spod trzewi nie wydziera mu się nigdy krzyk. Chyba raz jeden: gdy w czasie swego pobytu w Stuttgarcie dowiaduje się o wybuchu powstania listopadowego i o rzezi Warszawy. Wtedy wydziera mu się krzyk: „O Boże! Jesteś Ty? Jesteś i nie mścisz się!? Czy jeszcze ci nie dość zbrodni moskiewskich — albo — alboś sam moskal?“ Ale i te słowa zostały wywołane raczej strachem o życie i zdrowie swych najbliższych, aniżeli samem powstaniem. Mimo że do końca życia czuł się Polakiem, polityką nie zajmował się nigdy i nie miał zrozumienia dla wielu spraw, które pasjonowały emigrację polską w Paryżu, m. in. i Mickiewicza. (Kilka uwag Chopina o Adamie to raczej wyraz krytycznego dystansu aniżeli zrozumienia). Zwłaszcza zupełnym brakiem zrozumienia grzeszył wobec ruchów społecznych swojej epoki. Wobec rozruchów paryskich z r. 1848 zajmuje w liście z Londynu wyraźnie negatywne stanowisko: „dotychczas było to w głowach, w imaginacji i książkach, w imieniu oświaty, sprawiedliwości, solidarności itd., ale teraz owe błoto, jako męczeństwo, wzywać będzie zemsty! A zemście końca niema!“ To samo stanowisko, podyktowane środowiskiem, w którem Chopin urastał i żył, kazało mu negatywnie odnosić się do lewicowych przyjaciół p. Sand, a ją samą potępiać za „niegodziwe proklamacje“, które wydawała wraz z dziennikiem „który się wcale nie udał, bo był ultra...“ Gniewał się w jednym z listów, że i „londyńscy nicwarciuchy zaczynają pięście sztyftować“. To samo arystokratyczne środowisko, które wyznaczało poglądom społecznym Chopina tak ciasne granice, determinowało też jego stosunek do Żydów.

Ciekawy jest stosunek Chopina do innych kompozytorów jego doby. Jak z listów wynika, był on wielbicielem włoskiej opery (Rossini, Donizetti), ale z kompozytorów absolutnej muzyki nie uznawał prawie nikogo: ani Liszta, z którym był zaprzyjaźniony, ani Berlioza, ani nawet Schumanna, którego entuzjastyczne krytyki otworzyły jemu dostęp do szerokiego świata muzycznego. Ze starszych kompozytorów uwielbiał Mozarta i Bacha, z wielkim szacunkiem odnosił się do Beethovena. O sobie samym wyrażał się z niesłychaną skromnością. Porównany przez kogoś z Mozartem, z szczerem oburzeniem odrzuca to porównanie, a gdy w wiedeńskiej bibliotece rękopisów słynnych muzyków zauważa swój własny rękopis, pisze o tem do domu: „Durnie, macie też co chować!“ Krytyczny wobec drugich, był nim też i wobec siebie samego. Jest rzeczą ciekawą, że właściwie nie zdawał sobie sprawy (albo też nie chciał temu dać wyraz) ze swojej własnej przełomowej dla muzyki polskiej roli. Z głębokim zachwytem odnosił się tylko do muzyki ludowej, z której czerpał obficie podnietę do własnej twórczości; jednak jej sentymentalnych przeróbek żywiołowo nie znosił: „Często podobne rzeczy widząc, myślę, że lepiej nic, bo mozół ten skrzywia tylko i trudniejszą robi pracę genjuszowi, który kiedyś tam prawdę odwikła. A aż do czasu owego wszystkie te piękności (t j. muzyki ludowej) zostaną z przyprawianemi nosami, różowane, z poobcinanemi nogami, albo na szczudłach i pośmiewiskiem będą tym, co lekko na nie spojrzą“.

W listach chopinowskich znajduje odbicie życie muzyczne tego okresu — Warszawy, Paryża i Londynu — wraz z jego zwyczajami, uprzedzeniami, mieszanką programową (komiczne nam się dziś może wydać rozbijanie większych utworów orkiestrowych na poszczególne części i rozdzielanie ich jakiemiś arjami innych kompozytorów), z wielkościami i osobistościami, o których dziś już nikt nie wie, intrygami „gwiazd“ i głupotą dyrektorów (Meyerbeer musiał przez 3 lata czekać na wystawienie jednej ze swych oper, gdyż nie chciał się zgodzić na oddanie głównej roli kiepskiej, ale protegowanej przez jakąś figurę śpiewaczce). W listach tych niebrak dowcipów, kursujących w Paryżu i relacjonowanych odległej rodzinie ani ploteczek towarzyskich, opowiadanych z humorem, ani wreszcie krytycznych uwag o życiu i obyczajach arystokracji angielskiej, emigracji polskiej, o ówczesnym Paryżu itd. — listy Chopina to poufna kronika jego czasów. Z wiekiem i narastaniem choroby, ta lekka strona zanika, coraz trudniej przychodzi pisanie, coraz więcej jest kreśleń, coraz więcej zmęczenia: „Wszyscy zgadzają się na... spokój, odpoczynek. Odpoczynek to ja któregokolwiek dnia będę miał i bez nich...“ — pisze pół roku przed śmiercią.

Omawiając listy Chopina, nie można ominąć ich stylu, jędrnego, plastycznego, nie stroniącego przed wyrazami soczystemi i przejawiającego wyraźne zdolności literackie ich autora. Styl ten jest szczególnie swobodny i z mazurska cięty w listach pisanych po polsku. Znaczna część listów z okresu paryskiego jest pisana po francusku, a w nich, jak sam się przyznaje, czuje się Chopin mocno skrępowany i często prosi adresata o wybaczenie i o poprawienie zarówno stylu jak i pisowni.

Listy Chopina zostały zebrane z pietyzmem przez prof. Opieńskiego i wydane przepięknie przez Jarosława Iwaszkiewicza i „Wiadomości Literackie“. Zupełnie słusznie otrzymały nagrodę jako najlepiej wydana książka r. 1937. Przepiękne reprodukcje obrazów i portretów, facsimile'a rękopisów Chopina, troskliwe tłumaczenia listów francuskich i przypisy, ułatwiające orjentację w stosunkach towarzyskich artysty — to wszystko jest wyrazem pietyzmu, z jakim wydawcy przystępowali do wydania tych listów.

*

Ci którzy znają muzykę Chopina, którzy zawdzięczają jej wiele głębokich przeżyć i pięknych chwil, tem chętniej od lektury listów wracają do jego muzyki. W listach jest on człowiekiem, z wszystkiemi, czysto ludzkiemi wadami i zaletami, brakami i talentami, ze swoim trudnym charakterem i trudnym losem. W muzyce jest całym sobą, swobodnym i wielkim, odrębnym i niepowtarzalnym. W listach jest człowiekiem swej doby i swego środowiska — w muzyce tym, który przerósł swe środowisko i przetrwał swoją epokę.

*) **Listy Fryderyka Chopina**, w opracowaniu **Henryka Opieńskiego**. Warszawa, Nakład Jarosława Iwaszkiewicza i „Wiadomości Literackich“, 1937; str. 400 i tabl. 23.

O POKÓJ I WOLNOŚĆ

Wybitne działaczki polityczne w Londynie zwołały w czerwcu wielki mityng w celu omówienia zbliżającej się katastrofy wojennej.

Głośna publicystka francuska, Genowefa Tabouis, oraz dwie posłanki do parlamentu angielskiego, Ellen Wilkinson i dr. Edyta Summerskill, w niezwykle przekonywających przemówieniach wykazały ogromną przewagę materjalną i moralną świata demokratycznego, który może przeciwstawić się agresji totalizmu i oszalałej reakcji społecznej, pchających ludzkość w otchłań wzajemnego wytępienia narodów. Demokracja, działając w pełnem zrozumieniu katastrofy zawisłej nad światem przez wynaturzony nacjonalizm i fatalizm przeżytych form ustrojowych, nawołując do najzdrowszych instynktów człowieka - twórcy, zatryumfuje i musi stać się czynnikiem odradzającym ludzkość. Kobiety muszą docenić swą siłę moralną w tem dziele odrodzenia, muszą stać się dźwignią radosnego jutra. Lepsza przyszłość dla nowych pokoleń, dalszy swobodny pochód ludzkości ku ideałom twórczego współżycia wszystkich wyzwolonych ras i narodów - oto wielki i bezpośredni cel zwycięstwa nad wrogiemi siłami agresji, destrukcyjnego militaryzmu, rasizmu i reakcji społecznej. Kobiety pragną stanąć w pierwszych szeregach tej walki.

Referentki wystąpiły z konkretnym planem działania. Zgromadzenie londyńskie uchwaliło zwołać Światowy Kongres Kobiet do Hawany na Kubie w październiku r. b. Kongres ma wytyczyć drogi kobietom ze wszystkich kontynentów dla nieustępliwej walki o możliwość normalnych przeobrażeń społecznych, do walki z zagrażającem barbarzyństwem najazdów i ujarzmiania słabszych narodów. Kobiety-matki z całego świata muszą zabrać głos protestu przeciw szantażom niszczycielskiego faszyzmu, muszą przejawić niezłomną wolę obrony swych synów, mężów i braci, miljonów rodzin, całego młodego pokolenia, całego dorobku ludzkości, wystawionych na niechybną zagładę przy dzisiejszych metodach wojny i jej straszliwych środkach technicznych i chemicznych. Kobiety-matki, którym dotychczasowy rozwój historyczny wyznaczył rolę strażniczek rodziny, a które olbrzymim wysiłkiem wywalczyły sobie szerszy zakres działania na innych polach pracy społecznej i politycznej, muszą dziś, w krytycznej chwili dla całej ludzkości, stanąć na straży całych narodów, na straży zagrożonych swych krajów. Kobiety — działaczki, świeża siła społeczna, pełna niewygasającego entuzjazmu dla młodych pokoleń, pełna wiary w potęgę wielkich idej, dobroci człowieka, nie zawiodą! Światowy Kongres w Hawanie przejawi nowe, nieoczekiwane może myśli i idee, wskaże szerszy widnokrąg i możliwości zażegnania katastrofy oraz sposoby wprowadzenia narodów na racjonalną drogę rozwoju społecznego.

Do komitetu organizacyjnego kongresu weszły znane osobistości ze świata kobiecego: z Francji — Tabouis, Irena Joliot-Curie, Malaterre-Sellier i wiele innych; z Anglji — prof. Winifred Cullis, dr. Edyta Summerskill, Ellen Wilkison, Clement Attlee i inne; z Belgji Jeanne Vandervelde; z Chin — Czang-Kai-Szek; ze Stanów Zjednoczonych — Dorota Parker; z Indyj — Kriszna Hutchering i t. d., i t. d. Sekretarjat w sprawach kongresu powierzono pani J. B. S. Haldane, żonie słynnego uczonego, profesora i pisarza. Nazwisko pani Haldane stało się głośne spowodu jej podróży do Chin i Hiszpanji w okresie najzaciętszych walk oraz jej wydatnej pomocy dla ofiar wojny i emigrantów politycznych.

Adres komitetu organizacyjnego brzmi: „Women's World Congress“, Mrs. Charlotte Haldane, 14, Regent Street, London, S. W. I., England.

*

Prosimy wydawców i autorów o nadsyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach oraz o podawanie nam ich cen księgarskich.

Recenzje będziemy zamieszczali jedynie z wydawnictw nadesłanych pod adresem redakcji „Sygnałów“.

Polemika z Marsjanką

Broszura M. J. Wielopolskiej „Silni, zwarci, gotowi, ale i... czujni“ (nakład tygodnika „W Natarciu“, Warszawa 1939) jest od początku do końca grubem nieporozumieniem: oceną rzeczywistości polskiej przez człowieka, którego psychika kształtowała się od lat na wzorach niemieckiej propagandy; spojrzeniem, rzuconem na życie polskie poprzez brunatną szybkę hitlerowskich okularów.

Do polskiej rzeczywistości przystępuje Wielopolska z hitlerowskiemi „narzędziami tortur“.

Rozpoczyna, jak to sama stwierdza w cytowanej broszurze, od „retrospekcji i zwyczajnych... kartotek“. Nie wiemy tylko, czy korzystała ze źródeł „oficjalnych“, czy też posiada kartotekę „amatorską“. Dość, że wygrzebała pisarzy i poetów tej miary, co Wittlin, Broniewski, Tuwim, Hollender, Kruczkowski, Wasilewska, zarzucając im brak szacunku i uznania dla wojennych koszar.

I tu właśnie stajemy u źródeł konfliktu. **Dla pisarzy polskiej demokracji koszary są, przynajmniej w dzisiejszych warunkach, tarczą, która chroni przed agresją i zniszczeniem muzea, szkoły, teatry, wsie i osiedla robotnicze, słowem gwarantuje (czy powinna gwarantować) pokojowy rozwój całego społeczeństwa. Dla ludzi, wzrosłych w kulcie dla wszelakich odmian totalizmu, koszary są celem samym w sobie, osiągnięciem jedynem i ostatecznem, najwspanialszym wytworem, jakby kwintesencją cywilizacji.**

Wielopolska nie może poprostu zrozumieć, jak wstręt do idei zbiorowych mordów połączyć można z gotowością do obrony granic zagrożonej przez napastnika Ojczyzny.

„RAMMLER“ 1914 I 1939 ROKU

Nawet dziś, gdy okuta w żelazo pięść rzuca cień na zachodnią granicę naszego państwa, nie może Wielopolska darować Słonimskiemu takiego naprzykład odezwania się pod adresem germańskiego imperjalizmu:

„Buhaj germański, ciężki byk,
Patrzcie i ten już z ziemi znikł —
Zmienia się prosty knecht w Lieb-
[knechta“.

Drugim nie mniej „dyskwalifikującym“ argumentem z podręcznej kartoteczki szanownej autorki jest recenzja Słonimskiego z filmu „Miss Cofell“. Bohaterami filmu są: Angielka, rozstrzelana za działalność szpiegowską na rzecz swojej ojczyzny, oraz szeregowiec niemiecki, Rammler, który buntuje się i rzuca karabin.

Cytuję treść recenzji Słonimskiego za broszurką M. J. Wielopolskiej:

„Jest to bohater (Rammler) nowy, bohater przyszłości! Pojęcie odwagi wobec wojny zmieniło się zasadniczo; nie jest bohaterstwem pójść po drodze najłatwiejszego oporu, nie przeciwstawiać się ogólnemu złu“.

W wielu sprawach, od najdrobniejszych do najbardziej zasadniczych, nie godzę się ze Słonimskim. Cenię talent poetycki Słonimskiego, choć publicystyka jego jest mi daleka i obca. Nie przeszkadza to jednak, że pod przytoczonem zdaniem z recenzji o filmie „Miss Cofell“ podpisałbym się bez zastrzeżeń. Zresztą, na szczęście, nie byłbym znowu tak bardzo odosobniony.

Niedawno z ramienia „Dziennika Powszechnego“ brałem udział w uroczystości przekazania armji trzech ręcznych karabinów maszynowych przez ludność nadgranicznego miasteczka, stolicy Kurpiowszczyzny, Myszyńca. Po oficjalnych przemówieniach nadinspektora Straży Granicznej, pułk. Chmura, zaprosił przedstawicieli prasy na dłuższą konferencję. I tu z ust pułkownika, kawalera „Virtuti Militari“, człowieka odpowiedzialnego za kilkusetmetrowy pas polsko-niemieckiego pogranicza, padły w obecności kilkunastu przedstawicieli pism następujące słowa:

„Żołnierze niemieccy przekradają się z Prus Wschodnich do Polski.

Niedawno granicę przekroczył dwudziestoparoletni chłopak. Inteligent. Wychowanek hitlerowskiego régime'u. Prosił tylko o jedno. O pozostawienie go w Polsce. **Jest Niemcem i kocha swój kraj. Przedewszystkiem jednak jest człowiekiem.** Nie chce, aby powtórzył się 1914 rok. Wojna przyniesie Niemcom klęskę. Nie chce tego. Nie chce sięgać po cudze i mordować tych, którzy bronią własnej ziemi i własnej niepodległości“.

W głosie starego żołnierza, dowódcy daleko na północ wysuniętej, poważnej placówki strategicznej, nie było nic z niechęci, pogardy czy ironji pod adresem owego symbolicznego „Rammlera“, tylko już nie z 1914, lecz z 1939 roku.

Wielopolska nazwałaby tragicznego młodzieńca zdrajcą ojczyzny, dezerterem, który „praska“ karabinem w bruk ulicy. W jej bowiem pojęciu wszystkie ojczyzny są poto, aby szkolić masę żołnierzy; żołnierzy zaś musztruje się w tym celu, aby sobie beznamiętnie i mechanicznie podrzynali gardła. **Niewolnik Kserksesa i bohater spod Termopil, i ten, który po wolność sięga, i tamten, który w obronie wolności ginie, podciągnięci zostają pod jedno wspólne określenie: żołnierz.**

I tu zasadniczo różnimy się z Marsjanką. Dla nas, demokratów, ewentualny wybuch wiszącej w powietrzu wojny będzie narzuconym absurdem, zbrodnią brunatnego imperjalizmu, przeciwko któremu zmobilizujemy wszystkie nasze siły i możliwości. Dla czcicielki Marsa czemś zupełnie naturalnem, nieodzownem, wypływającem ze starych i niewzruszalnych prawd. Dla nas symbolem wojny będzie ponury warkot bombardujących samolotów. Dla Wielopolskiej melodyjne pobrzękiwanie ułańskiej ostrogi. I my i ona mówimy po polsku, a jednak nie dogadamy się nigdy. **Znajdziemy natomiast wspólny język (porozumiemy się nawet na migi) z młodym „Rammlerem“ z r. 1939, który narówni z nami nienawidzi zaborczych dążeń hitleryzmu, a którego odwagę osądzi Wielopolska (wraz z panem Hitlerem), jako zdradę niemieckiego narodu.**

TEN SAM NARÓD WYDAŁ KRUPPA I OSIETZKY'EGO

Stanowisko Wielopolskiej w sprawie wojny przypomina poglądy handlarzy broni, o których w innem miejscu odzywa się (niestety, jedynie z racji ich pochodzenia) z nietajoną pogardą i nienawiścią:

„Leon Lewy, Żyd (u p. W. stale przez „ż“ małe), był prezesem Izby Syndykalnej fabrykantów sprzętu wojennego we Francji, maski gazowe dostarczali*) panowie Franc i Braun, Żydzi — wyrób gazów trujących w przemyśle chemicznym reprezentowali pp. Weiss, Benac..., Żydzi, — pozatem potentaci prasy tej, która w czasie wojny demonstrowała za wojną i armją, byli też Żydzi: Dreifuss, Jeroboam Rotszyld, Epstein etc. etc.“.

Z każdego procederu można wybrać nazwiska o takiem i innem brzmieniu. Wiedzą o tem cośniecoś redaktorzy kroniki kryminalnej w „Gońcach“, „Abecach“ i innych „Małych Dziennikach“. O co tym panom chodzi, wiemy aż nadto dobrze.

Nie możemy natomiast zrozumieć Wielopolskiej.

Wśród narodowości żydowskiej, jak wśród każdej innej narodowości, są tacy, którzy na wojnie dorabiają się fortun, i tacy, na których robi się grube interesy. Uwadze szanownej autorki polecamy „Handlarzy śmierci“ Engelbrechta i Haninghena (w przekładzie polskim książka ukazała się przed paru laty). Poza żydowskiemi nazwiskami znalazłaby tam dzieje Zacharowa, Schneidera, Kruppa, z których pierwszy uważał się za Greka i sprzedawał broń wrogom własnej ojczyzny, drugi po dziś dzień jest niemieckim potentatem broni. Zresztą, nie chcę zbaczać z tematu. Stwierdzam tylko, że w każdym narodzie są Kruppy i Osietzcy, i że pominięcie tych różnic wprowadza zupełne pomieszanie pojęć. W wypadku konkretnym nie wiemy, za co Wielopolska nienawidzi handlarzy broni: czy za to, że nie wprowadzili w swej branży paragrafu aryjskiego i część zysków ustąpili tym „wrednym Jawrejom“, czy też z tej racji, że nabili kobzę z groszem za cenę śmierci szeregowca Rammlera.

*) Po polsku mówi się „dostarczać czego“, nie zaś „dostarczać co“ (a więc: dostarczać masek). Taką polszczyznę spotyka się czasami na znienawidzonych przez autorkę Nalewkach.

W pierwszym wypadku przydługa dygresja niewiele wiązałaby się z tematem. W drugim — uzasadniałaby stanowisko tych, których autorka tak namiętnie zwalcza w swojej płomiennej broszurze.

Inne jest stanowisko polskiej demokracji. Gardząc „handlarzami śmierci“ bez względu na ich przynależność narodowościową, serdecznie wita każdego przeciwnika idei zbiorowego morderstwa. Równocześnie podaje dłoń „Rammlerom“, którzy zrywają przeżarte brunatną rdzą kajdany hitlerowskiego więzienia i nie chcą dopuścić do powtórzenia absurdu 1914 roku.

Inną miarą należy mierzyć obrońców Termopil wolności, inną zaś biernych niewolników i ciurów gnanych batem dyktatora po grabież cudzej swobody i ziemi.

Pani Wielopolska cytuje nawet wiersz Broniewskiego o grabieżcy, który skrada się w nocy, aby podpalić cudzy dom, ale ani słowa z tego wiersza nie rozumie.

Ze słów:

„Cóż, że nieraz smakował gorzko
na tej ziemi więzienny chleb?!
Za tę dłoń wyciągniętą nad Polską
— kula w łeb!“

— wyciąga wniosek, że „p. Władysław Broniewski, żołnierz legjonowy, więzień Szczypiorny, kawaler Virtuti Militari, Krzyża Walecznych etc. — robi zwrot w prawo. I wraz z całą polską demokracją łasi się!“

„Może dlatego — zapytuje Wielopolska — poczuł p. Broniewski animusz bojowy, że zapachniała wojna z Niemcami, gdzie tacy, jak on, nie wychodzą z obozów koncentracyjnych?!“

Z tem zdaniem nie będziemy polemizowali. Odpowiedzią na nie jest cały nasz artykuł. Aby jednak na przyszłość oduczyć szanowną autorkę od wprowadzania do polemiki zwrotów w rodzaju „łasić się“ uciekamy się do tego, co w słowniku prawa międzynarodowego nosi nazwę represalij (t. zn. chwytów, normalnie niedopuszczalnych w odpowiedzi na nadużycia strony przeciwnej):

Niech entuzjaści hitlerowskiej biblji przestaną wreszcie lizać rękę nakładającą obrożę, niech raz nazawsze wykreślą ze swego wszechnienia za polsko-niemiecką przyjaźnią.

Marsjanie, uwolnijcie ducha z brunatnej smyczy entuzjazmu dla idei koncentracyjnych obozów!

ZAMIAST „POST SCRIPTUM“

Dochód z broszury przeznaczają autorka i wydawcy na rzecz Funduszu Obrony Narodowej.

Przypomina to trochę postępek pewnego handlarza Murzynami z „Chaty wuja Toma“. Handlarz, wzbogacony popłatnym przez dłuższy okres czasu procederem, postanawia cały zysk z ostatniego transportu Murzynów przeznaczyć na cele dobroczynne dla zmazania dotychczasowych grzechów.

Broszura kończy się na dopisku:

„6 maja 1939 r. w dniu ukończenia subskrypcji na Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej, którą bardzo słabo zasiliły sfery, najgłośniej demonstrujące obecnie gotowość ofiar na rzecz wojny... ofiar z piersi, pieśni i kieszeni“.

Owszem, naprzykład warstwa „rycersko“-ziemiańska, jak to ostatnio doniosła prasa codzienna, na rzecz P. O. P. (mimo otwartych na ten cel w okresie przednówkowym kredytów Banku Rolnego), ofiarowała aż... 1/40 (**słownie: jedną czterdziestą**) zadeklarowanej uprzednio kwoty!

Konstanty Anselm

Uwspółcześniona Antygona

Aleksander Maliszewski. Antygona. Warszawa, F. Hoesick, 1939; str. 111 i 1nl.

Nawiązywanie do tradycji literackiej, do najwybitniejszych arcydzieł światowych odbywało się i odbywa bezustanku. Mając dystans historyczny współczesny autor może spojrzeć na utwór inaczej, jak najbardziej dialektycznie; wtedy poruszone zagadnienia przezeń poczynają żyć na nowo. Nie idzie tu o płytkie uwspółcześnianie zapomocą zmiany ubrań, tła i t. d.; można zachować koloryt czasu, można nawet w grubszych ramach zatrzymać dawną akcję, istota utworu nabierze innego wyrazu wówczas, gdy zmieni się stosunek autora do tematu.

Nieśmiertelna postać Antygony, zagadnienie przełamania prawa i poświęcenia się w imię obowiązku i miłości siostrzanej, tryumf ślepego prawa i fatum tragiczne: to wszystko zajmowało wielokrotnie pisarzy. Ileż w ciągu wieków powstało nieznanych często i bezimiennych Antygon! Ze współczesnych pisarzy powracają do tego tematu Hasenclever i Cocteau, pierwszy w utworze o charakterze impresjonistycznym, drugi w jednoaktówce, będącej parodją czy raczej skeczem literackim.

Pisząc dramat pod tą nazwą Aleksander Maliszewski postawił sobie odważne zadanie. Do mitu, na którym oparł się Sofokles, ustosunkował się jak uczony. Odrzucił pojęcie tragicznego fatum, które prześladowało królewski ród, i rozszerzył zagadnienie analizując gruntownie ustrój ówczesnego państwa.

Rzecz dzieje się w Tebach. Dramat składa się z trzech aktów: „Przed południem“, „Popołudniu“ i „Wieczorem“. Przed murami Teb czeka na wynik bitwy matka, inwalida, starzec grający na harfie i tłum. Każdy z nich inaczej reaguje na wojnę. Jeśli starzec zapatrzony w wieczność wojnę zrozumie jako zło, które trwać będzie wieki „dopóki człowiek na ziemi“, to inwalida, który sam wojnę przeżył, namiętnie przeciwko niej występuje, rozumie bowiem obłudę panowania władcy, jego podstępne rzucenie na siebie dwóch braci, śmiało też wyzywa Kreona. Inwalida to uosobienie rzeczywistego humanitaryzmu i dlatego słowa jego tak głęboko rozumie matka. Po zwycięskiej bitwie Kreon poszle go na śmierć, dla wytłumaczenia zaś ludowi winy Polinika zabroni ciało jego pogrzebać. Część pierwsza to dramat ogólny, wyraża niejako atmosferę dnia. Część druga, „Popołudniu“, odbywa się na dziedzińcu zamkowym. Poznajemy nowe postacie: Tyrezjasza, który jest tu nie wróżbitą ani kapłanem, lecz mędrcem - włóczęgą, Antygonę, Ismenę i Hajmona. W tym akcie zawiązuje się dramat osobisty; poznajemy atmosferę panującą we dworze. Narastają zdarzenia, ścierają się idee. Autor nie przychyla się ani na jedną ani na drugą stronę, zachowuje całkowity obiektywizm. Kreon jest mądrym i doświadczonym władcą, umie nakazywać i rządzić. Usuwa wszystkich utrudniających mu drogę do samowładnego panowania; namówił Polinika do bratobójczej walki z bratem swoim Eteoklesem, nasyłając po zwycięskiej wojnie zbira, który Eteoklesa zamordował. Chce po ich śmierci zagarnąć tron. Jest sprytnym demagogiem, znającym doskonale psychikę tłumu, wie co trzeba powiedzieć i przyobiecać. Bezkrwawą wojnę z tłumem wygrywa mową. Syn jego Hajmon, kochający Antygonę, wyraża typowy liberalizm młodości. Chciałby pomóc ludowi i ukochanej, żyje jednak w świecie marzeń. Niewiadomo, jakby postąpił będąc władcą. Zmienia się również postać Antygony. Tragizm jej wynika nie z ciążącego na niej fatum, ale z miłości siostrzanej. Jest to postać głęboko ludzka, zdolna do poświęceń i czynów. Ze wszystkich postaci jedna Ismena, niezdecydowana i cierpiąca, przypomina podobną postać z greckiego dramatu. Postać historyka to nie tylko tło dla usprawiedliwienia idei utworu ale człowiek z krwi i kości, reprezentujący mądrość i krytycyzm historji.

Przesunięcie zagadnienia na tło bardziej społeczne kazało Maliszewskiemu zastąpić grecki chór radą starców, będącą niejako odpowiednikiem rady przybocznej, echem możnowładców. Akt trzeci, „Wieczorem“, rozgrywa się podobnie jak akt drugi przed pałacem Kreona. Odbywa się uczta, którą Kreon kazał urządzić dla ludu. Biesiadnicy śpiewają pyszną pieśń o Atmosie, królu arychimeńskim. Wśród nich błądzą zakochani Hajmon i Antygona; jest smutna, zdecydowała się bowiem pogrzebać ciało swego brata. Gdy odchodzi, Hajmon nie podąża za nią. I oto, gdy uczta zdawało się dosięga



Aleksander Maliszewski

zenitu, pada wieść o złamaniu zakazu Kreona, — wprowadzają Antygonę. Rozkaz musi być wykonany, prawa zmienić nie można. Walka o prawo staje się walką z człowiekiem. Kreon musi skazać Antygonę, działającą w najlepszej wierze, powodowaną miłością siostrzaną. Władca rozkazów swoich publicznie cofnąć nie może. Wydaje wyrok śmierci. Gdy Antygonę wyprowadzają, radzi swemu synowi uciec z nią razem gdziekolwiek, w krainę miłości. Hajmon jest jednak złamany. Śmierć samobójcza Antygony przyśpiesza jego samobójstwo. Czyn jego jest mimo wszystko raczej efektowny, niż tragiczny. Głęboko tragiczny jest Kreon, złamany, potargany w sobie, — musi żyć dalej, by cierpieć.

Na kanwie dramatu greckiego wysnuł Maliszewski dramat inny, uwspółcześnił go, pojął jednak zadanie swoje głębiej od wielu dzisiejszych autorów. Chłód i marmurowość białego, pięknie brzmiącego wiersza znakomicie podkreślają wartość tego utworu. Żałować tylko należy, że dramatem tym nie zainteresował się dotychczas żaden teatr. Gdy wystawia się rozmaite sztuki i sztuczydła, musi się znaleźć miejsce dla prawdziwie poetyckiego utworu.

Jan Śpiewak

LEONARD HANIN

Na grozę ziemską

Drżą manometry czujnych serc —
Glob dymi w przestworzach jak kocioł —
Światem przebiega radosna śmierć,
że ziemia znów wzbierze wilgocią.

Na grozę ziemską biją dzwony —
Niech będzie Führer pochwalony!

Lufami biegną ku niebu kominy
a każdy komin fabryczny to krater —
Zmartwychwstał Jagiełło, ocknął się Gie-
[dymin
i chłopy wstały skrzydlate.

Znów na zwycięstwo biją dzwony —
Niech będzie Führer pochwalony!

Szalony!
Pomnóż krople krwi przez mękę milczenia
i słuchaj: W glebie już lęgnie się skrycie
z krwi tej — alraune, straszny płód cier-
[pienia:
mściciel.

Już o wolności grają dzwony —
Niech będzie człowiek wyzwolony!

Wśród nowych powieści

Zofja Nałkowska. Niecierpliwi. Powieść. Lwów, Książnica-Atlas, 1939; str. 343 i 1 nl. — **Ferdynand Goetel**, akademik literatury. **Cyklon.** Warszawa, „Rój", 1939; str. 328 i 8 nl. — **Andrzej Brózda i Jerzy Rawicz. Tutaj spać nie wolno.** Powieść. Warszawa, F. Hoesick, 1939; str. 243 i 1 nl.

Trudno się zdobyć na zdecydowaną ocenę ostatniej powieści **Nałkowskiej.** „Niecierpliwi" zbyt wyraźnie się różni od takiej, np. „Granicy", by wielbiciele talentu naszej najlepszej dziś powieściopisarki mogli to jej ostatnie dzieło bez bólu wmontować w swój ustalony już na nią pogląd.

Nałkowska w latach ostatnich przesunęła się znacznie od tradycyjnych norm powieściowych w kierunku do pewnego stopnia odpowiadającym zmianom widocznym u naszych najmłodszych prozaików. W tak kardynalnej sprawie, jak rola fabuły w powieści jest dziś autorka „Granicy" znacznie bliższa różnym pisarzom swojej generacji. Nie jest to ewolucja miła dla czytelnika, ani, chyba także i cenna dla artysty. Fragment bytu, będący t. zw. treścią „Niecierpliwych", jest gorzej niż zwykły, jest ubogi i nieważny. Historja Jakuba i Teodory, zakończona podwójną śmiercią bohaterów, wlecze się przed oczami czytelnika z nużącą monotonnością i tylko po mistrzowsku powplatane napomknienia niepokoju nadają powieści jakieś wymiary godne uwagi.

Charakterystyczne dla najmłodszego pokolenia powieściopisarzy zamiłowanie do dygresyj w przeszłość fabularną przy okazji wprowadzenia tej czy innej postaci stwarza w „Niecierpliwych" miejsca, gdzie czytelnika, jak ćmy nad latarnią opadają imiona, imiona i tylko imiona, imiona nie wiele więcej mające ładunku znaczeniowego, niż ma ich sam fonetyczny wydźwięk: wszystko inne bowiem zostało z nich wytopione i odrzucone. Niewątpliwie, jest w tem dużo śmiałego nowatorstwa: i rewizja ujęcia fabuły i taki drobiazg, jak zastąpienie tradycyjnej ekspozycji taniemi wycieczkami w przeszłość i inne drobiazgi, wszystko to jest jeszcze nowe i oryginalne. Ale od pisarza tej miary, co Nałkowska, ma się przecież prawo wymagać także i innych regulatorów twórczości, nie tylko pragnienia takiej, bądźcobądź dosyć powierzchownej oryginalności. Bo, co najgorsza, nie łatwo jest w „Niecierpliwych" dogrzebać się tego kompleksu myślowego, którego tak wyraźnym, zdawałoby się, wspólnym mianownikiem jest tytuł powieści. Jaka to ma być „niecierpliwość"? Poza trywjalną koncepcją pewnej rodowej predyspozycji do samobójstw, trudno doprawdy o jakąś mniej lub więcej artykułowaną odpowiedź.

Wydaje się, że autorka, odrzucając technikę realistyczną, pozostała przy realistycznej teleologji powieściowej, jak wiadomo, głoszącej powszechną równość wszystkich tematów. Tylko jej wielki talent sprawia, że ten byle jaki temat, rozwałkowany na wszystkie strony (co jest w powieści realistycznej niedopuszczalne), co pewien czas przeszywa czytelnika perspektywą rzeczy ciężkich i doniosłych.

Rzecz prosta, Nałkowska góruje nad naszymi „młodymi" kompleksem cech, które nie prędko staną się dla nich osiągalne. Wprawdzie, podobnie jak oni, stroni ona od akcentowania wulgarnej roli pieniądza w życiu człowieka, wprowadzając nędzarzy na scenę swojej powieści stara się ona wszystkie akcesorja ich bytu zbyć półsłówkami, koncentrując swoją uwagę na istotnych dla siebie kwestjach psychologicznych. Ale to ostatecznie jest notoryczne, wszyscy koryfeusze dzisiejszej polskiej literatury odnoszą się do t. zw. spraw materjalnych z niesmakiem i zważywszy warunki, które ukształtowały ich światopogląd, trudno mieć do nich o to pretensję.

Ważniejsze, że Nałkowska posiada jeden przynajmniej probierz wydarzeń powieściowych: posiada potężne, jak u nikogo dziś, konkretne poczucie ogromu śmierci. Starość i śmierć, już w „Granicy" nie można się było wyzwolić spod obrazu starzejących się i starych kobiet, w „Niecierpliwych" ta pasja autorki powołała do życia obrazy jeszcze silniejsze i bardziej wstrząsające. Młodzieńcy, pisujący w Warszawie głębokie (jak im się zdaje) powieści z „problemami" „czysto artystycznemi", długo będą musieli dojrzewać, by móc się zdobyć na tak gorzkie i twarde zrozumienie nonsensu istnienia ludzkiego.

Motyw zazdrości, niekonsekwentny, porywany, zatuszowany owemi wylewami imion, ma także w powieści swoje kulminacje o sile niepowtarzalnej: zwłaszcza wtedy, gdy się zetknie z atmosferą śmierci. Końcowa scena z rozdziału o Marcie jest chyba najbardziej przejmująca w całej powieści.

„Cyklon" Goetla*) należy do zupełnie innej kategorji powieści: do kategorji, powiedzmy, „C". Jest to dobra lektura wakacyjna. Ale i tu wiele jej walorów należałoby zapisać raczej na konto wysługi lat autora, niż na jego doraźny, aktualny wysiłek twórczy. Powieść jest bardzo nierówna, rozpada się ona na dwie, zupełnie odmienne części. W pierwszej, obejmującej opis podróży parowcem Goetel utrzymuje się na dobrym, chociaż bynajmniej nie rewelacyjnym poziomie. Tempo opisu, jego gładkość i barwność — wszystko to sprawia, że czytając „Cyklon", przypominamy sobie najlepsze fragmenty innych, dawniejszych książek Goetla. Ale już tu odczuwa się pewne nieskładności, które po kilkudziesięciu stronach spowodują zupełny chaos i zdawkowość drugiej części powieści — tej „w listach". Powieść, wyglądająca zrazu na psychologiczną (w guście Conrada, choć bez jego rozmachu), staje się nagle sensacyjna, ale gdybyż to była sensacja, zbudowana uczciwie! Nie, Goetel, naplątawszy wątków i motywów tajemniczych, nie wysila się bynajmniej na jakiekolwiek logiczne ich rozplątanie. Przeskoki fabularne, pourywane akcje, transformacje charakterów, wszystko to załatwia autor byle zbyć, byle się odczepić od czytelnika, którego pierwsza część powieści związała z bohaterami książki.

Odnosi się wrażenie, że albo autor od początku nie posiadał wyraźnej koncepcji powieści, albo też w trakcie pisania utracił nagle całe przywiązanie do tematu. Trudno bowiem sobie wyobrazić, by autor tak wyrobiony, jak Goetel, tak bardzo nie mógł sobie dać rady z materjałem, jak to jest w drugiej części „Cyklonu".

„Niecierpliwi" i „Cyklon" — dwie powieści akademików literatury, powieści najlepszych naszych prozaików! Zestawienie ich ze sobą mogłoby być punktem wyjścia dla dłuższego studjum o losach polskiej powieści. I „Niecierpliwi" i „Cyklon" to symbole dwóch tendencyj, rozsadzających dziś naszą literaturę. Pragnienie nowości za wszelką cenę, nowości z kategoryj wąskozawodowych, technicznych, zapatrzenie się wgłąb siebie, brak poczucia socjalnej wagi dzieła literackiego — te tendencje, często zresztą hamowane przez wyrobienie pisarskie i talent Nałkowskiej, u „młodych" nabierają rozmachu: to właśnie są zręby stylu, który się (niestety) tworzy, stylu „wysokiej" literatury, jak epoka japońskiej „egobelletrystyki", skazanej na uporczywą nieprzydatność i bezpłodność i w tej nieprzydatności, upatrującej swoją najwyższą rację bytu: „czysta sztuka!".

„Cyklon" jest dalszy od typowego stadjum choroby, którą reprezentuje, ale przecież i na nim łatwo ją zanalizować. W epokach, gdy ogarnia artystów obłęd „czystej sztuki", gdy najzdolniejsi z nich za dyshonor sobie poczytują tworzenie dzieł, któreby mogły dać satysfakcję przeciętnie inteligentnemu odbiorcy, na terenach, opuszczonych przez twórców bujnie się rozrastają kohorty producentów tego, co tak trafnie określa rosyjski termin „cztiwo". Możnaby sądzić, że „Cyklon" jest właśnie próbą wyrwania przeciętnego czytelnika z ramion Dołęgi-Mostowicza czy Konczyńskiego. Byłoby to naprawdę godne najwyższego aplauzu. Ale pustka „Cyklonu", zwłaszcza zaś niechlujność wykończenia świadczą raczej o czemś wprost przeciwnem.

Oczywiście, „Cyklon" jest subtelniejszy i samodzielniejszy od „Znachora", ale też jest zrobiony bardziej na kolanie; Dołęga-Mostowicz ciągle jeszcze pozostaje aktualnym mistrzem popularnej powieści, jedynej powieści, która ma dzisiaj swoją bazę naturalną: masowego odbiorcę.

Smutny doprawdy jest bilans niniejszej recenzji. Oto największa z prozaików tego okresu, który się zaczął od śmierci Żeromskiego, nie ma czytelnikowi do ofiarowania nic poza wizją niedorzeczności, okropności życia. Tylko śmierć, tylko obraz śmierci i czasem nierealny półcień miłości: „Przecież nie było nic pomiędzy wciąż przeplatającem się życiem i umieraniem — tylko to jedno: bliski człowiek, do którego przychodzi się w trwodze, o którego się drży i troska, z którym we dwoje można to znieść, że się umrze". Cóż z tego, że te słowa chwytają za gardło, jeśli poza niemi, oprócz nich nic niema. Nałkowska zbyt jest dziś samotna, by stać się naprawdę wielkim pisarzem, niema w niej tej absurdalnej, ale przecież jedynie godnej miana człowieka miłości do ludzi, bez której życie staje się rzeczywiście jedynie ponurem dojrzewaniem do śmierci.

A oto drugi prozaik, akademik literatury, prezes ogólnopolskiego związku literatów, mistrz narracji, świetny autor książek podróżniczych. Cóż on ma nam do zaofiarowania po dobrych dziesięciu latach milczenia? Dobrą powieść egzotyczną? Powieść psychologiczną? Powieść kryminalną? Niech to oceni sam czytelnik. Sądzę, że zgodzimy się z nim na jedno: że powieść ta jest pusta i zrobiona byle jak.

Jeśli u najlepszych można stwierdzić tyle kardynalnych braków, to trudno się dziwić, gdy u debjutantów napotka się to czy inne wykoszlawienie. Powieść **Andrzeja Brózdy** i **Jerzego Rawicza** należy do literatury polemicznej i politycznej, na tej też płaszczyźnie należy ją oceniać. Są to dzieje młodzieńca, urodzonego w chwili wybuchu Wielkiej Wojny, dorastającego w czasach inflacji, wyrzuconego zaś na uniwersytet w okresie kryzysu. Powieść kończy się degradacją życiową bezrobotnego magistra, który nie może znaleźć najlichszego zajęcia, staczając się aż do nocowania w skrzyniach na śmiecie.

Jako dokument epoki, książka Brózdy i Rawicza ma niewątpliwie wiele wartości. Szczególnie bodaj cenne są spostrzeżenia z bytu uczniów gimnazjalnych, mniej się udały czasy uniwersyteckie, choć przecież byłoby tu więcej ciekawego materjału. Np. stanowczo zbyt zdawkowo potraktowali autorzy przeżycia bohatera w „organizacji" oenerowskiej. A tymczasem jest to przecież istna kopalnia! Te wszystkie szopki z „wodzami", walka konkurencyjna, dyskretne więzy z potentatami przemysłu, różnorakie kollaboracje z rozmaitymi funkcjonarjuszami „régime'u", „przypadkowe" zbieżności z bandytami i zdrajcami w rodzaju Codreanu czy Gajdy: dla pisarza politycznego O. N. R. to przecież gratka nielada. Szczególnie się nadaje jako temat do powieściowej groteski. Niestety, autorzy potraktowali tę płaszczyznę bardzo skrótowo, być może dlatego, że cała ta szajka odgrywa dziś w Polsce rolę bardzo niewielką.

Książka napisana jest niezbyt pomysłowo. Bohater nie należy do udanych, akcja nie zawsze rozgrywa się żywo i logicznie, większość scen odznacza się zdawkowością. Należy wątpić, czy powieść ta odegra większą rolę propagandową, sądzę raczej, że fakty, które podaje, często oburzające, przemówią do przekonania nie tyle chorującym na nacjonalizm, ile zeń już wyleczonym: za mało jest w niej powieściowego objektywizmu i plastyki.

Jerzy Putrament

*) Nie mogę się powstrzymać od paru uwag na temat innej książki Goetla: o faszyzmie. Na obwolutach książek zazwyczaj się przytacza jak najpochlebniejsze opinje prasy o tej czy innej książce danego autora. Na obwolucie „Cyklonu" znajdujemy dwie cytaty z recenzyj o „Pod znakiem faszyzmu". Jan Emil Skiwski pisze m. in.: „Książka jest europejska, przez swobodę, dobrą rasę pisarską, która pozwala autorowi wznieść się ku syntezom śmiałym, szerokim, a jednak nie tracącym nigdy gruntu rzeczywistości pod nogami..., jest to książka, która wybiega w przyszłość, która tę przyszłość prowokuje". „Ilustrowana Polska Zachodnia" pisze: „Jest jednak w książce... Goetla wiele słusznych i śmiałych sądów"... To „jednak" jest doskonałe, znakomicie ilustruje ono reakcję polskiej prasy na tę książkę Goetla. A cytaty ze Skiwskiego także są dobre: sprowokowana przyszłość, jak się okazało, może utrącić grunt pod nogami Goetlowi i Skiwskiemu.

PAWEŁ HERTZ

PRZYJACIOŁOM HISZPANOM

liberte egalite fraternite plac republiki
mijam by noc spotykać moją noc powolną
z gitarą hiszpański emigrant apollo
łączy gorycz ze szczęściem ludowej muzyki

ach cóż mi arsenału mówią rude cegły
lwy wejścia strzegą i dwaj marynarze
a kule srebra jak gołębie biegły
gdy klucz wiolinu spoczął na gitarze

no pasaran za murem radości jest prado
jeśli miłości nie znam poję się nadzieją
w szwajcarskim banku obrazy czernieją
o greco twoja zieleń to jest moja radość

księżyce odwrócone pancerniki niebios
w 21 strzałów admirała grzebią
zatopione u brzegu pięknego szafiru
wiążą szarfy żałoby z podmuchem zefiru

milczenie obłoki kusi jak leżąca ruda
dziewczyna o fabryko kocham łono twoje
w wąwozy pirenejskie wkraczam jak w twe uda
śpiewam pokój pomiędzy zorzą wszystkich wojen

ach cóż mi arsenału mówi cegła ruda
szczęście w bukiecie wystrzelonym zawisło
gitara to jest pokój wojna to jest ruda
nafta węgiel i złoto szum motorów diesla

o milczmy zbyt szczęśliwi na paryskim bruku:
gdy wąska brama wolności zamknięta
mała modystko sztuczny kwiat za centa
złóż na chłodnym marmurze tryumfalnego łuku.

JOSEPH ROTH

Parę tygodni temu zmarł w Paryżu pisarz austrjacki, przebywający na emigracji, Joseph Roth. Był to człowiek niezmiernie ciekawy, harmonizujący w swej postaci i w swych dziełach wiele przeciwieństw, wiele kontrastów.

Pochodził z małżeństwa dosyć niezwykłego: ojciec był rdzennym Austrjakiem, katolikiem, matka Żydówką rosyjską. Został wychowany przez matkę w wierze izraelickiej (ojciec zmarł w zakładzie dla umysłowo chorych, kiedy Roth był jeszcze dzieckiem); mając lat trzynaście przyjął chrzest i do końca życia pozostał głęboko wierzącym katolikiem. W jego pismach pośmiertnych znajduje się jeszcze niewydrukowana opowieść o spotkaniu św. Teresy z Lisieux z pijakiem. W jego powieściach zaś często spotyka się momenty mistyczno-religijne, jak np. w „Radetzkymarsch", gdzie młody porucznik rzuca się z szablą na lichwiarza, który go obraził i nagle drętwieje, gdyż za postacią przeciwnika widzi cień krzyża.

Będąc wierzącym katolikiem, Roth nigdy nie utracił łączności z żydostwem. Prawie w każdej książce występuje w miejscu decydującem jakaś postać żydowska, postać zwykle tajemnicza i pełna ukrytego znaczenia. A jedna z jego najpiękniejszych i najbardziej dojrzałych powieści p. t. „H i o b" opowiada dzieje szarego Żyda rosyjskiego, który wyemigrował do Ameryki. W dziele Rotha nędzarz ten staje się symbolem całego narodu, jego wędrówek, cierpień, upokorzeń i niezłomnej wiary w wyzwolenie.

Mimo to, Roth nie był pisarzem żydowskim i natchnienie, które czerpał z tematów żydowskich, stanowi tylko jeden z pierwiastków składających się na jego obraz literacki. Jest on przedewszystkiem pisarzem austrjackim, ale nie niemieckim, co trzeba koniecznie podkreślić, bo Austrja przedwojenna Franciszka Józefa, którą Roth wskrzesał w swoich książkach, ten konglomerat narodów, religij i ras, miała niewiele wspólnego z duchem Niemiec Wilhelma i Niemiec dzisiejszych. Austrja ta była więcej niż narodem. W ostatniej swej powieści „Kapuzinergruft" Roth w bardzo pięknych słowach określił pojęcie dawnej Austrji; i wcale nie razi, wprost przeciwnie, dodaje tym słowom jakiegoś mistycznego, jakby natchnionego znaczenia ów fakt, że Roth wkłada je w usta warjata: „Austrja to nie państwo, ani kraj rodzinny, ani naród. Austrja to religja. Klerycy i matołki klerykalne, którzy teraz rządzą, robią z nas tak zwany naród, z nas, którzy jesteśmy nadnarodem, jedynym nad-narodem, jaki kiedykolwiek istniał".

Jest rzeczą charakterystyczną, że Roth w swoich książkach nigdy nie kładzie nacisku na niemiecką część Austrji, akcja w jego powieściach przeważnie toczy się na prowincji, na peryferjach olbrzymiej monarchji, w Galicji, na Morawach, wśród Czechów, Polaków i Słowian.Zdaniem Rotha, te kraje koronne i ich obywatele pozostali jeszcze wierni idei Austrji, podczas gdy Niemcy austrjaccy już kokietowali Prusaków i marzyli o połączeniu się z niemi. W „Radetzkymarsch" Roth opisuje Austrję skazaną na bliski koniec, podtrzymywaną tylko przez osobę starego cesarza; nastrój tej powieści jest ponury, przesiąknięty świadomością o nadchodzącej klęsce i nic nie ma wspólnego z powszechnem, banalnem wyobrażeniem o wesołej, starej Austrji, zaczerpniętem z kolorowych pocztówek i oklepanych piosenek o dawnych, dobrych, przedwojennych czasach. A dla określenia uroczego Wiednia cesarskiego Roth znalazł te dość zastanawiające słowa: „Stolica rozpieszczona i za często opiewana, podobna do błyszczącego pająka uwodziciela, w środku olbrzymiej, czarno-żółtej siatki ciągnąca siły, soki i blask z sąsiednich krajów koronnych".

Zagłada tego, co pozostało po Austrji w roku 1938 była ciężkim ciosem dla Rotha. Prawda, udało mu się dostać do Paryża, ale Francja nie mogła zastąpić ojczyzny człowiekowi takiemu, jak on. W „Radetzkymarsch" stary c. k. urzędnik nie może przeżyć monarchji, a bohater „Kapuzinergruft", stojący w hitlerowskim Wiedniu przed zamkniętą bramą krypty Kapucynów pyta się z przerażeniem: „Dokąd teraz?".

Na te bezradne słowa człowieka, którego świat w gruzy się zawalił, dała mu odpowiedź śmierć.

Alina Wołowska

Współpracownicy »Sygnałów«



Kazimierz Frankowski

Z WYSTAW WARSZAWSKICH

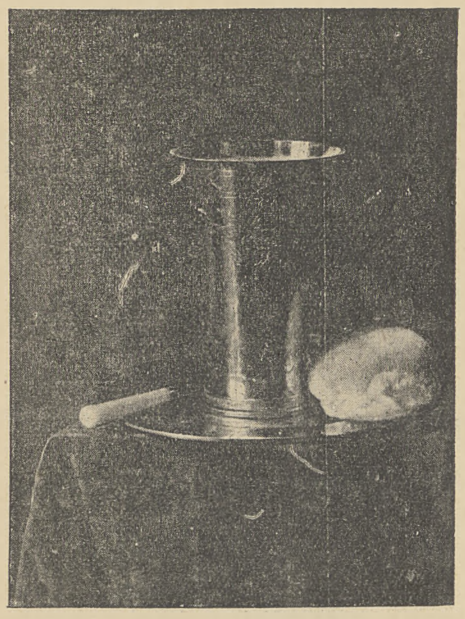
Wystawa dawnego malarstwa „martwych natur" urządzona w Muzeum Narodowem jest nie tylko interesującym przeglądem materjału zabytkowego w Polsce, lecz również znakomicie uzmysławia aktualne zagadnienia formalne w sztuce. Bałamucona przez pewien odłam historyków sztuki, zwłaszcza zaś kiepskich malarzy, maskujących nieuctwo i niedołęstwo pozamalarskiemi hasłami — publiczność nasza mogła się przekonać, że rozległy problem „martwej natury" nie powstał bynajmniej w okresie postimpresjonizmu (Cézanne, Van Gogh, Gauguin) jako rzekoma ucieczka od rzeczywistości, lecz istniał w daleko szerszym i pełniejszym zakresie, w dawnych, „dobrych" czasach. Wystawa bieżąca jest wymowną demonstracją oczywistej prawdy, iż jedyne i wyłączne kryterjum rzetelnego malarstwa to rzetelna forma, że temat jako taki jest zaledwie pretekstem, bądź elementem wtórnym wynikającym dopiero z konstrukcji dzieła sztuki, że, krótko mówiąc, „lepsza jest dobrze namalowana głowa kapusty, niż źle namalowana głowa świętego". Patrząc na „martwą naturę" inteligentny widz niewątpliwie zdaje sobie wreszcie sprawę, że o wartości obrazu decyduje nie ta lub inna fabuła, lecz umiejętność artysty, realizacja jego plastycznego widzenia t. j. poczucie równowagi mas, wzajemny stosunek brył, rytm kształtów, współdźwięk i różnicowanie plam kolorystycznych, miękkość lub też linearyzm form, wreszcie wartości wizualne samej faktury, konsystencja farby, jej blask, piękno i szlachetność materjału.



Monogramista P. H.

Powstanie w dawnem malarstwie flamandzko-holenderskiem obfitej produkcji „martwych natur" nie jest oczywiście pozbawione momentów socjalnych. Kierunek ten tłumaczy się gwałtowną reakcją na religijno-feodalną tematykę renesansu i teatralny mistycyzm baroku. Stąd zamiłowanie do odtwarzania mieszczańskiej rzeczywistości w jej najskromniejszych przejawach. Tak więc powstaje sztuka wybitnie świecka, intymna, świadomie czerpiąca natchnienie ze świata realnego, ze zjawisk życia codziennego. Sztuka ta u niektórych malarzy tak zwanego ludowego genre'u (Brouver, Van Ostade, Ryckaert, Molenaar, Craesbeek) nabiera niekiedy charakteru wybitnie społecznego.

Wystawę urządzono jak zwykle w najgorszych, pozbawionych górnego światła, salach. Większość obrazów wisi nawprost okien i trzeba nielada sportowych wyczynów, aby jakoś ujrzeć całość lub choćby fragment płótna. Przykre wrażenie wywiera niemal zupełny brak selekcji eksponatów. Stąd przerażająca ilość starej tandety



Simon Luttichys

i partactwa. Wiele do życzenia pozostawia układ obrazów (zwłaszcza na niektórych ścianach gęsto, tuż obok siebie, a nawet w kilku rzędach, jak w rupieciarni, stłoczone obrazy). Zbyt pochopne wydają się niektóre atrybucje: np. rozpaczliwie słaby, warsztatowy, rzekomy Snyders ze zbiorów Dowgiałłów, mocno wątpliwy, mimo olbrzymiego podpisu, Fyt, tępe, oleodrukowe kwiaty, jakoby Daniela Seghersa i t. p. Katalog opracowano porządnie: szkoda tylko, że w nim, a nie na wystawie figuruje „W szopie" Saftlevena. Arcydzieło to bowiem z niewiadomych powodów nagle, po kilku dniach, zniknęło z wystawy.

Stosunkowo najpełniej prezentuje się na wystawie malarstwo holenderskie. Są to przeważnie drugorzędne płótna. Obejmują one zarówno malarstwo monochromatyczne, zawarte w oliwkowo-złocisto-brunatnej skali



Frans Snijders

kolorów, jak też bardziej barwne, pozostające pod wpływem kolorystyki flamandzkiej i włoskiej. W płótnach tych z całą ostrością występują dwie odmienne wizje plastyczne: malarska o szerokiej, miękko wtopionej plamie i przedmiocie syntetycznie traktowanym, oraz graficzna, często gubiąca się w szczegółach, raczej narracyjna, w której kolor zazwyczaj wypełnia ściśle oznaczony kontur rzeczy. Na szczególną uwagę, w powodzi różnych antykwarjackich knotów, zasługuje kilka niewątpliwych majstersztyków, które stanowiłyby ozdobę największych muzeów zagranicznych. Mam na myśli zadziwiającą grę refleksów szkła, subtelność form i indywidualną osobowość „martwej natury" Jana Jansza Van der Velde (poza katalogiem), fenomenalny „Kubek i bułka" rzadko spotykanego Simona Luttichysa, „Kielich i chleb" Abrahama Beyerena, „Przekąskę" Claesza, „Ryby" Van Peenena, „Naczynia" Pottera, „Deser" Hedy i „W szopie" Saftlevena. Brak Rembrandta (którego kilka „martwych natur" znajduje się w muzeach Amsterdamu, Kopenhagi, Louvre'u, Glasgowu), Vermeera (wnętrza z „martwą naturą"), Kalfa, można by z łatwością uzupełnić reprodukcjami. Znacznie gorzej wygląda dział flamandzki bez J. Breughla, A. Boschaerta (reprezentuje go na wystawie Van der Ast), Savery'ego, Rubensa, P. De Vosa, Jana Fyta, Van Utrechta, Van Barena. Ale i wśród obecnych Flamandów znajdujemy kilka wyjątkowo pięknych płócien: Clary Peeters „Śniadanie", przypisane de Heemowi, Teniersa Młodszego, „Kwiaty i warzywa" nieznanego Flamanda, będące jakby przeczuciem sztuki Cézanne'a (lewa partja, jabłka), „Gołębie i winogrona" monogramisty I. V. D. K.

Jeszcze trudniej powziąć wyobrażenie o francuskiej „martwej naturze" w braku dzieł Bougina, Chardina, Oudry i Desportesa.

Kilka dekoracyjnych obrazów włoskich o dramatycznej ekspresji, pełnych gwałtownych światłocieni, wyróżniających się dynamiczną, niespokojną powierzchnią — w zestawieniu z przeważnie jednotonową, wybitnie intymną, opanowaną sztuką holenderską, daje pewne pojęcie o włoskiej formie malarskiej.

Mimo wielu mankamentów, spowodowanych w pierwszym rzędzie niezmiernie szczupłym w Polsce materjałem zabytkowym, wystawa w Muzeum Narodowem jest bardzo pouczająca i stanowi cenne uzupełnienie niezbyt udanej wystawy „martwych natur" w I. P. S.-ie.

Leon Strakun



Clara Peeters

WŚRÓD CZASOPISM

Chłopski Świat, miesięcznik, ukazuje się od kilku miesięcy pod redakcją **Józefa Niećki**. Pismo ma zadania przedewszystkiem kulturalno-społeczne, pragnie w sposób poważny uwydatniać rolę i znaczenie warstwy chłopskiej dawniej i obecnie.

W ostatnim (5) zeszycie znajdujemy następujące prace: gen. **Lucjana Żeligowskiego** o idei słowiańskiej, **K. L. Konińskiego** o uniwersytetach wiejskich i projekcie uniwersytetu im. Jana Kasprowicza na Harendzie w Zakopanem, **Ireny Kosmowskiej** o kongresie pedagogicznym, odbytym w maju b. r., **Wojciecha Zawilca** o zagadnieniu żydowskiem, **Józefa Leszczyńskiego** o organizacji szkolnictwa; **Helena Dulębina** ogłasza materjały do historji ruchu ludowego; ponadto znajdujemy omówienie odkryć archeologicznych prof. Kostrzewskiego, polemikę na temat średniowiecza i sprawozdania.

*

Kamena, miesięcznik literacki, pod redakcją **Kazimierza Andrzeja Jaworskiego**, ukazuje się w Chełmie Lubelskim, już od sześciu lat. Pojawił się właśnie potrójny numer (8—10) tego sympatycznego i powszechnie lubianego pisma poetyckiego. Dzięki niezmordowanym wysiłkom redaktora przetrwało to tak długi okres czasu znacząc chlubnie trwały ślad w kulturze i literaturze polskiej.

Niestety, w ostatnim zeszycie znajdujemy odezwę redaktora do czytelników i przyjaciół „Kameny", odezwę smutną i znamienną dla czasów obecnych:

„Szósty rok istnienia „Kameny" dobiegł końca. Wskutek podniesienia się kosztów wydawniczych borykaliśmy się ostatnio z wielkiemi trudnościami finansowemi, co odbijało się na punktualności w ukazywaniu się pisma.

Zeszyt niniejszy wyszedł jako numer potrójny tylko dzięki subwencji Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i częściowo dzięki zasiłkowi Instytutu Lubelskiego. Dalsza egzystencja „Kameny" jest pod znakiem zapytania. Zwracaliśmy się trzykrotnie do „Funduszu Kultury Narodowej" z prośbą o subwencję na wydawanie pisma, ale mimo iż nie szło tu o tysiące, ale tylko o setki, stale spotykaliśmy się z odmowną odpowiedzią. Nie zachwiało to jednak naszego mniemania — opartego zresztą na przychylnych głosach krytyki — że „Kamena" na skromnym odcinku swej pracy do kultury narodowej pewien fundusz wnosi. Wypadałoby teraz „Kamenie" podzielić los „Drogi", „Pionu", „Marchołta", „Okolicy Poetów" i in. pism, dla których w dzisiejszych „kulturalnych" czasach nie znalazło się miejsca. Mimo wszystko jednak nie chcemy ustępować. Sądzimy, że warto utrzymać pismo choćby dla garstki jego przyjaciół... A przecież nie łatwiejszego. Niech regularnie uiszczają należność za prenumeratę, niech rozpowszechniają nasze pismo i jednają mu nowych prenumeratorów".

Wezwanie to szczere i zasługuje na całkowite poparcie. Znajdą się chyba jeszcze ludzie, którzy nie pozwolą upaść tak zasłużonej placówce.

Ostatni zeszyt poświęcony jest górom. Przedstawiono w nim około 30 autorów, przedewszystkiem poetów. Znalazły się także przekłady z poezji francuskiej, rosyjskiej i niemieckiej. Autorzy polscy piszą przedewszystkiem o Tatrach. W ten sposób powstała piękna, choć skromna poetycka antologja „górska". Zasługuje na to, aby znalazła się w rękach każdego kulturalnego miłośnika gór. Z pisarzy polskich drukują m. in.: **St. Bąkowski, T. Bocheński, Wł. Broniewski, J. Brzostowska, St. R. Dobrowolski, M. Jastrun, K. A. Jaworski, Jalu Kurek, K. Makuszyński, K. Narkiewicz-Jodko, J. A. Szczepański, i K. Wierzyński.** Zamieszczone są przekłady z takich autorów jak: **Fr. Schiller, V. Hugo, A. de Musset, Sainte-Beuve, Th. Gautier, J. M. Heredia, N. Gronskij, R. Bailly i G. Meredith.**

KORESPONDENCJA

M. Św. Łódź. Z artykułu „Plamy na słońcu" nie możemy skorzystać.

Wł. Szl. Warszawa. Z wiersza „Ueber alles" nie skorzystamy.

E. L. T. Stanisławów. Wierszy nie będziemy drukowali.

M. R. Krościenko. Za pozdrowienia serdecznie dziękujemy i przesyłamy wzajemne.

R. B. Brody. Wiersze nie nadają się jeszcze do druku.

B. M. Łódź. W wierszach można wyczuć zdolności poetyckie. Jeszcze nie do druku; warto pracować. Za miłe słowa i wyrazy uznania i życzenia serdecznie dziękujemy. „Skawa": Warszawa, Nowogródzka 23 m. 5. — Wł. Broniewski, Książeca 4 m. 7 (red. „Czarno na Białem"). — Zegadłowicz: Wadowice, Gorzeń Górny. Numery wysłaliśmy.

Wł. Szl. Warszawa. Z wiersza nie skorzystamy.

J. N. Warszawa. Dziękujemy za szczere uwagi. Jesteśmy pismem demokratycznem i dajemy wszystkim pisarzom możliwość szczerego wypowiedzenia się. Nie możemy brać na siebie całkowitej odpowiedzialności za treść każdego artykułu, ponosi ją bowiem przedewszystkiem podpisany autor. Mamy nadzieję, że dyskusja się rozwinie i zabiorą głos jeszcze inni autorzy. Szczególne warunki, w jakich „Sygnały" pracują, uniemożliwiają spełnienie wszystkich marzeń i planów redakcyjnych. Najczęściej musimy się liczyć z „rzeczywistą rzeczywistością". Oto źródło wielu ukazujących się w „Sygnałach" prac. Usilnie staramy się pismo ulepszać. Mamy nadzieję, że już w najbliższej przyszłości wprowadzimy wiele zmian na lepsze. Prosimy Czytelników o współpracę: wszelkie uwagi krytyczne są dla nas bardzo pożyteczne i cenne. Wspólną pracą możemy zdziałać wiele dobrego.

J. P. Warszawa. Z wierszy nie skorzystamy.

k. h. dr. Odpowiemy w najbliższym czasie listownie.

St. Szcz. Radłowice. Więcej czytać wielkich poetów. Wiersze jeszcze nie do druku.

W. B. Z artykułu „Książka w chałupie" nie skorzystamy.

J. B. Kraków. Jeszcze nie. Prosimy o dalszą pamięć.

Oblicze dnia

W samowystarczalnej fortecy. Bezstronni obserwatorzy powracający z Niemiec i Włoch mówią o widocznym już złym wpływie syntetycznego i wydawanego systemem kartkowym pożywienia na zdrowie ludności tych krajów. Wiadomo z miarodajnych źródeł, że podczas wytężonej pracy niemieckich robotników na linji Zygfryda w ciągu jesieni i zimy przeciętny odsetek chorych wynosił 20%, co stanowi cyfrę bardzo wysoką.

Bomba latająca. Marcel Arribat w piśmie naukowem „Je sais tout" zaznajamia nas z nowem narzędziem wojny powietrznej, dzięki któremu samolot może rzucać bomby na objekty oddalone o dziesiątki kilometrów od miejsca, w którem się znajduje. Jest to torpeda powietrzna zaopatrzona w skrzydła, mogąca przebyć samodzielnie setki kilometrów. Możnaby więc bombardować miasta nieprzyjacielskie z własnego terytorjum. Zniszczenie danego rejonu — wnioskuje Arribat — byłoby wtedy tylko kwestją amunicji. Trzy tysiące bombowców wznosząc się dwa razy dziennie mogłoby rzucić każdego dnia dziewięć miljonów kilogramów bomb. Lotnicy nie byliby narażeni na żadne niebezpieczeństwo; byliby poza zasięgiem obrony przeciwlotniczej, a nawet samolotów myśliwskich.

Wielkie zyski z gazów trujących. Imperial Chemical Industries, trust największych angielskich fabryk związków chemicznych, zadeklarowały czysty zysk za rok 1938 w wysokości ponad siedem miljonów funtów szterlingów. Zakłady te wyrabiają miedź i nikiel dla przemysłu wojennego, produkują w wielkiej ilości materjały wybuchowe i fabrykują gazy arsenowe (dwieście ton dziennie).

Interesująca kombinacja. Przemysłowcy francuscy dostarczają surowców, które są Niemcom niezbędne do tego, by stać się groźną potęgą militarną. Ci sami przemysłowcy są fabrykantami broni. Jeśli Niemcy są bardzo niebezpiecznym nieprzyjacielem, Francja musi się zbroić na wielką skalę: wymaga tego obrona narodowa. W ten sposób eksport materjałów wojennych do Niemiec ma cel podwójny: przynosi zysk bezpośredni, jednocześnie zaś umożliwia i usprawiedliwia zbrojenia francuskie, które przynoszą jeszcze większe zyski.

Plan jest niezgorszy. Robił to już Krupp przed wojną światową, płacąc dziennikom francuskim za alarmowanie sprowo dzbrojeń niemieckich, by powiększyć zbrojenia francuskie, co pobudzało skolei Niemcy do większego wysiłku, który dawał mu zyski. I naodwrót!

PRENUMERATA JEST PODSTAWĄ BYTU I ROZWOJU »SYGNAŁÓW«

CZY JESTEŚ JUŻ ICH PRENUMERATOREM?

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK

Z drukarni „POLIGRAFJA", Lwów, Lindego 6, tel. 265-09